

Jerzy Nowak

Krótką historia Jednego Rajdu



Jerzy Nowak

Krótką historia jednego rajdu Strzyżowice – Ruciane



Strzyżowice 2010

WSTĘP

W kwietniu 2009 r. w pilotażowym wydaniu moich wspomnień, starałem się w skrócie opisać moje przygody na kanwie wyprawy na rajd kolarski do Rucian oraz „wycieczki” od głównego nurtu, a dotyczącej przyjaciół z dawnych lat.

Recenzje moich przyjaciół Ryśka Kapczyńskiego i Waldka Herbińskiego, bardzo dla mnie miłe i przyjazne, zachęciły mnie do poszerzenia formy i opisania nieznanych faktów i moich osobistych refleksji dotyczących tamtych wydarzeń.

WPROWADZENIE

Miesiąc maj, to chyba wszyscy kochają, a turyści wszelkiego rodzaju dyscyplin najbardziej.

Działacze Bytomskiego Klubu „Catena” przez szereg lat na początku maja organizowali rajd kolarski po szlakach „Orlich Gniazd”. Rajdy te były perfekcyjnie przygotowane pod względem organizacyjnym i przeważnie dopisywała pogoda. Zostały one jednak zawieszono, ze względu na fakt, że spenetrowane zostały wszystkie rejony na tym obszarze, a energia działaczy skoncentrowała się na obszar Dolnego Śląska.

Dla mnie początek maja zaznaczył się rozpoczęciem przygody z rowerem i przez dziesięciolecia była ta przygoda przerywnikiem w szarości codziennych obowiązków.

Klub Bytomski odziedziczył po pierwszych działaczach rzetelność i trwa to do dnia dzisiejszego.

Chciałem w tych wspomnieniach, nieudolnie, ale szczerze przedstawić historie jednego rajdu i otoczkę przed i po nim następujących wydarzeń.

Cofając się o 47 lat jest okazja odmłodzić się trochę starszym, a młodszym przybliżyć klimat tamtego okresu oraz wspaniałych ludzi, którzy ten klimat tworzyli. Jednych niestety już między nami nie ma, innych, którzy z niewyczerpalną energią działają dla wspólnego dobra do dziś spotykamy na zlotach, rajdach i spotkaniach. Należy im się dużo szacunku i sympatii.

MOJE POCZĄTKI KOLARSTWA

1 Maja 1961 r. pogoda była cudowna. Pierwszy raz w życiu wystartowałem w prawdziwym rajdzie kolarskim z numerem startowym na plecach, z kartą na potwierdzenia na punktach kontrolnych i metą na Zamku w Będzinie. Pierwszy raz w życiu dostałem nagrodę w rajdzie i zastanawiałem się jak ją zawieźć do domu. Nagrodą była książka „Legenda Zagłębia”, gruba i duża (jest w moim księgozbiore do dzisiaj i czasem do niej zaglądam).

W czasie uroczystości zakończenia rajdu, zwrócił moją uwagę turysta – kolarz, ubrany w strój dla nas nieosiągalny, w wieku ok. 35 lat, o powierzchowności wzbudzającej zaufanie. Widocznie zauważył moje zainteresowanie Jego osobą, bo podszedł do mnie i zagadnął mnie więcej w ten sposób:

- Cześć Kolego! Widzę, że masz piękny rower, zapewne dużo wolnego czasu. Rad bym był, Cię bliżej poznać. Jestem Ryszard Mielnik i pełnię obowiązki przewodniczącego Okręgowej Komisji Turystyki Kolarskiej w Katowicach. Chętnie Kolego bym Cię widział w szeregach naszej organizacji.

Ucieszył się, gdy mu powiedziałem, że już jestem jeden dzień w PTTK przy oddziale w Będzinie. Jako świeżo upieczony członek tej organizacji chętnie przystałem na Jego propozycję.

W tym czasie jeszcze nie pracowałem i rzeczywiście miałem dużo wolnego czasu.

Po krótkim kursie na temat - turystyki kolarskiej, który przeszedłem od wykładowcy Ryszarda na zamku w Będzinie, zacząłem zbierać pierwsze punkty do odznaki KOT.

GENY

Wielki ciąg do kolarstwa odziedziczyłem w genach po linii Nowaków.

Dziadek - Stanisław budowniczy i właściciel najwyższej położonej budowli w Strzyżowicach, wybudowanego w 1905 r. – wapiennika, był jakiś czas sołtysiem i od Starostwa w Będzinie dostał służbowy rower firmy „Kamiński”. W ten sposób, został pierwszym posiadaczem tego pojazdu w wiosce.

Ojciec - Tadeusz na rowerze przed wojną, wypuszczał się z kolegami na sobotnio-niedzielne wyprawy w rejony Olkusza, Wolbromia, Częstochowy i wzdłuż dawniejszej granicy. Zważywszy na stan ówczesnych dróg, nie były to wyprawy łatwe i wymagały dobrej kondycji, ale były wyprawami radosnymi.

Niestety nadszedł czas wojny. Starach przed śmiercią podsycany przez propagandę niemiecką kazał uciekać przed niebezpieczeństwem. Siostry ojca, bo rodziców już nie miał, kazały mu ratować się, zaopatrzyły w prowiant i błogosławieństwo i pożegnały, być może na zawsze.

W Olkuszu mieszkał wujek, który miał restaurację „Bagatela” i w czasie ucieczki tysięcy mężczyzn, zorganizował w niej bezpłatną jadłodajnię. Zaopatrzył on Ojca w prowiant i kieszonkowe i radził uciekać na wschód.

Ojciec po parotygodniowej tułaczce znalazł się na kresach wschodnich Rzeczypospolitej i był świadkiem wjazdu 17 września 1939 r. czołgów z czerwoarmistami na terytorium Polski. Został on internowany i zakwaterowany w wagonach na bocznicy zbombardowanej stacji kolejowej w Brześciu. Jeszcze pozwolili oglądać im defiladę z okazji Święta Rewolucji Październikowej, na której był Joachim von Ribbentrop, po czym zaczęli wzywać wszystkich internowanych przed komisję.

Pytają Ojca:

- Rodziców masz?

- Nie.

- Rodzeństwo?

- Tak.

- Żonę?

- Nie.

- Pokaż ręce,

i te ręce Ojca uratowały przed wywózką na Syberię.

Ojciec pracował w kamieniołomie i miał ogromne odciski od łopaty i kilofa.

Mówią:

-Tyś robotnik, masz bilet do Częstochowy i jedź do domu.

I tak z przygodami, po sześciu tygodniach tułaczki przez zbombardowaną Warszawę, przyjechał ojciec do domu i z powrotem do kamieniołomu, już jako robotnik przymusowy.

Sztafetę przejąłem ja i choć starałem się zachęcić syna do kontynuacji sztafety rodzinnej, ta przygoda skończyła się na trzech złotych centralnych, srebrnej KOT i paru wygranych konkursach. Z turystyką wygrał samochód i elektronika.

Teraz chciałem się skoncentrować na mojej osobie, może nieciekawej, ale obracającej się między ciekawymi przyjaciółmi.

JAK ZOSTAŁEM RZEMIEŚLNIKIEM?

Uczyłem się od mistrza zawodu i jeździłem do niego rowerem 2 km, latem i zimą. Pewnego razu mistrz zapytał:

- Jurek, niepokoi mnie, że ty jesteś chyba chory, bo jedziesz tym rowerem zaledwie 2 km, a ziajesz jak pies w czasie upału.

Nie chciałem powiedzieć prawdy, żeby się rodzice nie dowiedzieli, ale i tak prawda wyszła na jaw jak do warsztatu przyszedł kolega mistrza, (co ciekawe, nazywał się KOT) i tak mnie zapytał:

- Jurek, co ty robiłeś na rowerze dzisiaj rano w Siewierzu? – i sprawa się wydała.

Ja z domu wyjeżdżałem o 6.00 rano i do 7.00 pedałowalem w różnych kierunkach.

Żeby zdążyć do mistrza na czas w tym dniu wyjechałem jeszcze wcześniej, bo przez Siewierz było ok. 35 km.

I tak od Pana Kota doszło do KOT-a turystycznego.

KOT BRĄZOWY

KOT w stopniu brązowym zdobyłem 10 grudnia 1961 r. z parafką Ryszarda Mielnika. Odznakę dumnie nosiłem w klapie marynarki, co świadczyło, że dostałem kota.

Jednak ten kot raz mnie opuścił na kilkanaście lat. Było to spowodowane tym, że się ożeniłem, budowałem dom, pomagałem żonie wychować dzieci, a gdy to dopiąłem na ostatni guzik, wrócił do mnie w pełnej krasie, a ja się bardzo z tego ucieszyłem.

A w jakich okolicznościach wrócił postaram się opisać w późniejszych fragmentach wspomnień.

DOM MODY „ELEGANCJA”

W grudniu w dzień święta górniczego zacząłem pracę w Domu Mody „Elegancja” i praca ta pochłonięła całą moją uwagę i energię. Jako czeladnik z małym doświadczeniem przechodziłem trudny okres dostosowania się do wysokiej jakości pracy, która obowiązywała w zakładzie i siłą rzeczy turystyka zeszła na dalszy plan.

Ograniczyłem się do lokalnych imprez, ale kot spokojnie drzemał i cierpliwie czekał na przebudzenie właściciela.

KOT SREBRNY

Na srebrny KOT czekałem do 1964 r. i nie musiałem go czyścić, bo i tak się doskonale świecił, a parafkę złożył na legitymacji – Rajmund Byczek.

PRZYJACIELE - KOLARZE

Wcześniej od Rajmunda poznałem: Jerzego Lubosa, Rudka Harasimowicza, Marię Hełczyńską, Gintera Kaczmarczyka ze Zbrosławic, Stanisława Radomskiego, Władysława Sosnę, Tadeusza Owsiaaka, Mietka Poniewskiego, Andrzeja Czapłę, a z zagranicy Aleksandra Wasilzenko z Moskwy oraz Emila Protaske z Pragi i wielu innych wspianiałych przyjaciół.

Żeby ta wyprawa nie była nudna będę robił wycieczki od głównego nurtu.

ANDRZEJ CZAPŁA

Jeśli jestem przy Andrzeju Czapli z Gliwic, to warto poświęcić mu parę zdań, a przy okazji trochę historii, dlaczego mu te zdania poświęcam.

Gdy Neil Armstrong lądował na Księżycu, byliśmy w Łęcznej k/Chelмна na Zlocie Centralnym, a żeby tam być, trzeba było przejechać spory odcinek drogi.

Ja zaplanowałem odcinek Rajdu Dookoła Polski od Cieszyna do Suwałk i tak patrząc na mapę, to nie mało tego było. Koledzy z wioski, którzy chodzili po górach, wybierali się w Bieszczady i tam też w Ustrzykach Górnych zaplanowaliśmy w schronisku spotkanie. Pech chciał, że w Zawoi uziemił mnie deszcz, który padał niemiłosiernie i odciął mi drogę z campingu urządnego przez studentów z Wrocławia. Potok, który można było przeskoczyć urósł do rozmiaru rzeki i musiałem czekać pełne dwa dni. Uznałem, że do spotkania nie dojdzie i że będę musiał zwiększyć dzienne odcinki, żeby zdążyć na zlot.

W Morskim Oku spotkałem Andrzeja Czapłę, który też przy okazji zlotu robił odcinek Rajdu Dookoła Polski. Był też z nim jego kolega, ale o nim chciałbym szybko zapomnieć. Jechali z namiotem, w którym spali. Andrzej zaproponował mi wspólną jazdę, na co chętnie przystałem. Jadąc z Morskiego Oka bardzo zmarzliśmy i, żeby się nie rozchorować kupiliśmy w Nowym Targu ćwiartkę spirytusu i nacieraliśmy się nim, jeden drugiego, tak, że aż parowało od nas pod dość dużym, bo chyba trzyosobowym namiotem.

Trochę strachu przeżyliśmy, jak przed Gorlicami byłaby nas rozwalila przyczepa, tylko ucieczka na pobocze uratowała nas przed nieszczęściem.

W Lesku spotkałem się z kolegami, którzy zdążyli już przyjść z Ustrzyk Górnych. Po kolacji i zwiedzeniu Leska udaliśmy się do Baligrodu i po kilku fotkach przy pomniku Świerczewskiego, zaczęliśmy poszukiwanie noclegu, aby wypocząć przed arcytrudnym odcinkiem do Czernej. Kto przejechał ten odcinek ten wie, jak trudny to teren.

Za Baligrodem spaliśmy przed domem, gdzie rozgościli się łapacze ciem nocnych. Rozwiesili białą płachtę na ścianie domu i podświetliwszy ją, latali z siatkami i całą noc łapali te ćmy. Spanie mieliśmy przechlapane, a od rana ten niełatwy odcinek drogi. Ale i tak szczęśliwie pokonaliśmy pętlę do Czernej.

Pod wieczór kolega Andrzeja oświadczył, że nie życzy sobie, abym spał w namiocie, jego prawo, chyba namiot był jego. Wyjścia nie miałem, postanowiłem się pożegnać i na własną rękę szukać noclegu, co w tych okolicach bezpieczne nie było.

Dlatego chciałem tą wycieczkę od głównego nurtu poświęcić Andrzejowi, który oświadczył, że nie ma mowy żebyśmy się rozstali i wobec czego będziemy nocować nie w namiocie, ale u gospodarzy. Andrzej uratował kłopotliwą sytuację i zasłużył na sentyment do Niego z mojej strony.

Po zlocie Andrzej wrócił do domu a ja po licznych przygodach na odcinku do Suwałk zrealizowałem zakładany plan.

KLUB BYTOMSKI

Rajmunda poznałem na zlocie w Olkuszu, który zorganizował Klub Bytomski. W Bytomiu była spora grupka kolarzy, przeważnie młodych, których niejednokrotnie ściągnął Prezes Rajmund z ulicy. Był komunikatywny i młodzież chętnie z nim współpracowała.

W Bytomiu było też sporo przodowników i z jednym z nich Jankiem Warzychą, z którym przeżyłem długą przygodę na rowerze, o której trochę później.

Z różnym natężeniem uczestniczyłem w zlotach i rajdach w bliższej i dalszej okolicy, ale były to wyprawy jedno albo dwudniowe.

W miarę wolnego czasu brałem udział jako obserwator w słynnych, co piątkowych zebraniach klubowych w kawiarni przy ul. Chrobrego. Była tam bardzo miła atmosfera.

Przy wejściu witał portier Pan Stanisław, w podeszłym wieku, bardzo miły gość i oznajmiał, że Pan Rajmund zaraz przyjdzie i nie zdarzyło się, aby się spóźnił. Szło się obok stolików i bufetu za kotarę, gdzie były stoliki i stołki, wieszaki, a na wprost emblemat PTTK. Po lewej siadał Prezes Klubu i protokolant. O godz. 18.00 Prezes zaczynał mowę. To nie jest błąd, tak się to wprowadzenie nazywało i ta mowa trwała około 30 min. W tym czasie obowiązywała absolutna cisza, zdawało się, że nikt nie oddycha. Po skończeniu kazania były wolne wnioski, czyli pełny rozgardiasz i absolutny luz. Gdy wszyscy się wygadali był ogłaszany plan na sobotę i niedzielę: gdzie jedziemy, kto prowadzi, kto mechanikiem, czerwoną latarnią, kto będzie prowadził konkursy.

Mechanik był istotnym członkiem wyprawy, bo trzeba wiedzieć, że rowery nie były dobrej jakości, to był jeżdżący złom i ciągle coś się z nimi działo.

Natomiast czerwona latarnia, dbała o bezpieczeństwo, bo gdy prowadził Heniek Grzesik, to grupa szybko się rwała, takie nadawał tempo. Tarcze z przodu miał jak koło młyńskie, do dzisiaj dziwię się skąd wytrzasnął taki element napędu.

O Heńku trzeba koniecznie rozwinąć wspomnienia, bo był bardzo lubiany w klubie. Wysoki, szczupły, jakby zawsze opalony i mówiący czystą bytomską gwarą.

ZLOT CENTRALNY W MORYNIU

Przed wyjazdem na Zlot Centralny w 1967 r. do Morynia dostałem poufną wiadomość, że w Moryniu Heniek dostanie za zasługi srebrną odznakę PTTK.

Bardzo się ucieszyłem, że będzie taka uroczystość, a jeszcze bardziej, że po uroczystości oficjalnej, będzie nieoficjalna.

W bliskiej odległości od łąki, na której było obozowisko, była restauracja, a w niej smażyli ryby – sielawy, a właściwie rybki. Cennik był za 3 szt. - 280 zł, można było zamówić 5 szt. lub 7 szt. Do dzisiaj mam smak tych rybek. Jedliśmy te rybki i popijaliśmy złocisty płyn. Na rybki trzeba było czekać dosyć długo, bo personel nie nadążał ze smażeniem, w związku z tym było dużo czasu na rozmowy między nami i miejscowymi.

Była też rozmowa o jeziorze Morzycko, z którego te rybki pochodziły. Padła propozycja, a może by tak to jezioro dla rozrywki przepłynąć. Miejscowi kiwali głowami, że to trudna sztuka, bo jezioro to jest bardzo głębokie i jest pod względem głębokości 58,5 m na siódmym miejscu w Polsce. W związku z tym, momentami jest lodowato zimne i może to wywoływać skurcze. Poradzili, żebyśmy wybrali sobie miejscowego rybaka, aby nas asekurował z łodzi. Dogadaliśmy się w czterech z rybakiem, że za odpowiednią gratyfikacją popłynie z nami.

Ja na piaskowni w Siemoni w okresie letnim pływałem po całych dniach, bo była to jedyna w pobliżu rozrywka, to się pływanie nie bałem, był to styl rozpaczliwy, ale skuteczny.

WYZWANIE

Heniek, ja i jeszcze dwóch z obozowiska wchodzimy do jeziora, a rybak ze zdobyczą do łodzi. Płyniemy sobie spokojnie, a rybak, żeby nie robić fali, ok. 20m z tyłu. Na środku jeziora wpłynęliśmy w rejon, ten z dużą głębokością i rzeczywiście zimno było znaczne, że momentami oglądałem się za łodzią. Rybak sobie płynął wiele się nie męcząc, a my wypatrywaliśmy brzegu, który był za trzcinami. Wreszcie wpłynęliśmy na płyciznę i ciepłą wodę i już brzeg. Rybak też jest już nad brzegiem i tu zaskoczenie, bo rybak jest niedysponowany. My płynęliśmy, a on w tym czasie, skonsumował to, co od nas dostał.

Żeby wrócić na drugi brzeg, to trzeba wiosłować, a my nie mieliśmy o tym pojęcia. Co który ruszył wiosłami, to łódź nie chciała płynąć w pożądanym kierunku. Męczyliśmy się i bezradni zakosami dopłynęliśmy do obozowiska i tak się ta przygoda skończyła na podwójnym zmęczeniu.

KRZAKI

Po odpoczynku poszliśmy na rybki, ale Heniek z drugim kolegą pojechali na rowerze. I znów czekanie, i znów złocisty płyn, i chyba dużo tego płynu, za dużo po takim zmęczeniu. Na to by wskazywała kraksa, która potem nastąpiła.

Z restauracji zjeżdżało się wychodzącą ścieżką w kierunku jeziora i obozowiska, które z jeziorem sąsiadowało. Później był skręt w prawo przed krzakami i już była łąka z namiotami. Heniek z drugim kolegą z fantazją zjechali po tej ścieżce i skręt w prawo się nie udał, i obaj wylądowali w krzakach, tak skutecznie, że trzeba było ich wyciągać.

Na to nieszczęście, na te rybki wybrali się też Warszawiacy z Prezesem Henrykiem Ginterem. Nie przeczuwając przyczyny kraksy, zaczęli ich wyciągać, ale nie skończyli, jak się zorientowali, z jakiej przyczyny to nastąpiło. Nie pomógł Ryszard, nie pomógł piekłący się Rajmund, odznaka pojechała do Warszawy, a nam okazja na balangę przeleciała koło nosa.

WAKACJE Z KOTEM

Jeździliśmy jeszcze parę lat, do czasu jak zrobiłem sobie z „kotem” wakacje. To znaczy, że składki członkowskie opłacałem, pomagałem nauczycielkom w-f, ze szkoły podstawowej w wycieczkach rowerowych, brałem udział w wycieczkach z Oddziałem PTTK i byłem uczestnikiem Zlotu AIT w Rogoźniku.

HENIEK GRZESIK

Tam na skarpie za amfiteatrem ucieliśmy sobie z Heniem dłuższą pogawędkę. Był tam też Ryszard Mielnik, komandor Zlotu, któremu Heniek coś robił przy rowerze, ponieważ na tej skarpie miał serwis rowerowy. Kupiłem sobie od niego urządzenie do rozpinania i spinania łańcucha.

I jeszcze jedno, ostatnie spotkanie przypadkowe w Bytomiu, dla mnie bardzo smutne. Spotkał mnie przyjaciel Heniek na ulicy i poprosił o parę złotych, bo brakowało mu do jakiegoś zakupu, wiele się nie nagadaliśmy, bo nie bardzo go mogłem zrozumieć. Dowiedziałem się, że niestety, nie ma go już wśród nas.

Żeby nie zakończyć takim smutnym akcentem, trochę o jego zaangażowaniu w rozwój turystyki kolarskiej w Bytomiu. Pracował w hucie „Zygmunt” i tam z działaczami był motorem przy produkcji wszelkiego rodzaju medali, odlewów, pucharów dla kolarzy, znaczków złotych, itd.

AKCEPTACJA

Choć nie byłem członkiem klubu, muszę przyznać, że nikt mi tego nie proponował, czułem się dobrze w bytomskiej społeczności. Ja byłem jedyny z Brynicy i początkowo niektórych słów nie rozumiałem, mogłem się tylko domyślać ich znaczenia. W pełni zostałem zaakceptowany, a mieli do mnie koledzy respekt, bo w konkursach dużo zdobywałem nagród, początkowo na szczeblu lokalnym, a czasem centralnym.

MAMA

Jednak ciągle nie mogłem się zdecydować na udział w zlocie Centralnym. Miała w tym udział moja mama, która wcześniej widziała mnie w wyścigu po kraksie i kategorycznie oświadczyła, że porąbie rower siekierą, gdy będę brał udział w tego typu wyścigach. Długo tłumaczyłem, że zlot to nie wyścig, aż wreszcie ustąpiła.

Nagrody, które wygrywałem rozdawałem kolegom, którzy ze mną jeździli, żeby nie skojarzyła z wyścigami i, żeby znów nie próbowała postawić szlabanu.

ROWER

Żeby jeździć rowerem, to trzeba było go mieć, a to nie było takie proste.

Gdy już umiałem jeździć na rowerze pod rurką, to trzeba było bardzo na to zasłużyć, żeby dostać pozwolenie.

Gdy już zarabiałem 100 zł na tydzień, w czasie nauki zawodu, kolega zabrał mnie na ramę. Po sześciu km takiej jazdy dojechaliśmy do gościa, który miał do sprzedania „Eskę – Tourist” i zapłaciwszy drżącą ręką, żeby się nie rozmyślił 700 zł, jechałem uszczęśliwiony do domu swoim rowerem.

Wtedy już mogłem się zapisać do klubu kolarskiego w Będzinie.

Mechanik klubowy częściowo dostosował rower do szybkiej jazdy i na takim sprzęcie trenowałem dwa sezony technikę jazdy. To mi się bardzo przydało przez dziesięciolecia poruszania się tym środkiem lokomocji.

Ile można jeździć takim sprzętem? Trzeba pomyśleć o lepszym.

Podczas trzymiesięcznego pobytu u kuzynostwa w Opolu, wypatrzyłem rower wyścigowy u brata szwagra. Korzystając z tego, że brata szwagra zabrali do komandosów do Krakowa, doszliśmy do wniosku, że byłoby szkoda, żeby się sprzęt marnował stojąc przez trzy lata w pokoju.

Rower wyścigowy z prawdziwego zdarzenia marki „Bałtyk”, odkupiony od kolarza z Kolejarze Opole biorący udział w poważnych wyścigach trafił w dobre ręce. Bardzo dbałem o niego, zapłaciłem za niego 1800 zł i gdy płaciłem ręką mi nie drżała, że właściciel się rozmyśli, bo On w tym czasie, skakał ze spadochronem.

W klubie cmokali z uznaniem, a ja znacznie podniosłem przeciętną na treningach. Zostałem dopuszczony do startów w wyścigach, ale szybko to się skończyło, bo badania przed wyścigami w Poradni Sportowej w Będzinie wykazały za duże ciśnienie tętnicze. Przyczyną tego, była zbyt mała masa ciała, a za duże ambicje. Do tego dochodziło zbyt mało kaloryczne odżywianie, wystarczające do normalnego życia, a za małe do uprawiania sportu. Rodzice budowali dom i nie było ich stać na kupowanie odżywek, które były w aptece.

Trener był smutny, gdy mu o tym powiedziałem, miała na tą decyzję też mama, o czym było wcześniej.

Takie okoliczności spowodowały, że znalazłem się w Będzinie i odkrył mnie do turystyki kolarskiej - Ryszard Mielnik.



PAN RYSZARD MIELNIK

Po przerwie w uprawianiu turystyki kolarskiej, o której pisałem wcześniej, a był to 1993 r., do zakładu, w którym pracowałem przyszedł Pan Ryszard i chciał uszyć sakwy.

W recepcji wiedzieli o mnie, że jestem turystą i zawołali mnie.

Długo rozmawialiśmy o turystyce kolarskiej i na zapytanie, dlaczego nie jeżdżę, powiedziałem, że próbowałem wrócić do tej formy uprawiania ruchu na świeżym powietrzu. Przeczytałem w gazecie, że w Zbrosławicach Klub z Gliwic organizuje zlot. Po przyjeździe na metę, okazało się, że nikogo z dawnych lat tam nie spotkałem i zupełnie się zniechęciłem.

Pan Ryszard oświadczył, że w tym czasie była narada aktywu w Wiśle i że wszyscy działacze tam się znajdowali. Dał mi kartkę zgłoszeń na Zlot Centralny do Otmuchowa w 1993 r. i udałem się tam z synem, który też się zapisał do PTTK.

Od tego czasu systematycznie uczestniczę raz do roku w Centralnej imprezie.

Z tego wynika, jakby Pan Ryszard odkrył mnie na nowo, a przy okazji spotkałem się ponownie z przyjaciółmi z dawnych lat. Dzięki Panie Ryszardzie.

PAN STANISŁAW RADOMSKI

Wielki Ryszard i Wielki Stanisław. O Panu Ryszardzie pozwoliłem sobie na parę o nim uwag, natomiast o Panu Stanisławie byłoby dużo do pisania, ale rezygnuję z tej przyjemności, niech to zrobią godniejsi ode mnie. Jedna tylko uwaga, bardzo cenna w kontaktach międzyludzkich. Jak się mówi do Pana Stanisława Radomskiego, to widać, kto by do niego mówił, zawsze słucha z szacunkiem dla mówiącego.

PRZYGOTOWANIA DO RAJDU W RUCIANEM

Na jednym z zebrań w 1964 r. omawiana była sprawa udziału w Rajdzie AIT z metą w Rucianem.

Gotowość udziału w rajdzie wyraziło 9 osób.

Rajmund po zebraniu tak do mnie mówi:

- Tu Nowok, (zawsze byłem Nowok, nie Nowak), może byś jechał z nami na ten rajd, to było by nas 10-ciu do towarzystwa.

Jako, że nie byłem członkiem klubu, to na rajd zapisałem się indywidualnie.

Żeby nie być w oczach Ślązaków maminsynkiem, od razu podjąłem rękawicę i długo musiałem „wiercić dziurę w brzuchu” mamy, aby wyraziła zgodę na wyjazd. Nie było to łatwe, ale w końcu – zwycięstwo!

Po zgłoszeniu do domu przyszło potwierdzenie przyjęcia na rajd, a z nim przepiękny proporzeczek, znaczek rajdowy, materiały informacyjne i ten zestaw mamie się nawet spodobał. Proporzeczek przytwierdziłem do roweru i bardzo ładnie to wszystko wyglądało. Potem trochę się tą podróżą sfatygowałem.

Wszystko mam do dzisiaj oprócz materiałów złotych, które gdzieś przepadły.

W zakładzie wzięłem urlop, przygotowałem rower, połatałem szytki do „Bałtyka” i uznałem, że jestem mądry, tak mnie rozpierała duma, że jadę na rajd międzynarodowy.

Rodzice nie byli zadowoleni, że wybieram się w nieznaną, ale mniej oponował ojciec, który po przeżyciach z okresu wojny, w końcu stwierdził, że nie jadę sam i dam sobie radę. Problem był dla rodziców w tym, że na dwa tygodnie zniknie koń roboczy, bo zajęć w domu było niemało.

Założenia wyprawy były uzgodnione w klubie. 9 osób, jedzie do Rucian przez Gdańsk, natomiast ja dołączam między Częstochową, a Radomskiem, a odłączam się w okolicach Warszawy. Przyczyną tego było, że umówiłem się z dziewczyną, która miała na mnie czekać w Brwinowie na dworcu kolejowym.

Do „Bałtyku”, który był typowo wyścigowy, nie można było przytwierdzić bagażnika, bo nie było otworów i tu powstał problem jak zabrać niezbędne rzeczy. Zdecydowałem się, że worek, do którego powrzucałem to, co uważałem za niezbędne, w tym cztery sztyki, nie łątane, ale już poważnie zdarte, przewieszę na pasku przez ramię i myślałem, że tak dojadę na Mazury.

Na odjeździe Mama się z siostrą popłakały, ale obiecałem, że będę, co dzień pisał widokówkę, co robię i gdzie się znajduję. Robiłem to systematycznie, a koledzy mieli z tego ubaw i mówili tak:

- Jurek pisze do mamusi. Nie przeszkadzajcie, bo mu każe wracać.

Ale już czas zacząć przygodę.

RAJD W RUCIANEM

Przez pierwsze kilometry modliłem się, żeby, choć do Częstochowy nic złego mi się nie przydarzyło, bo byłby duży wstyd, kończyć przygodę, która dopiero się zaczęła. Tak bardzo byłem zamyślony tym wyjazdem, że wybrałem dłuższą trasę o około 7 km chyba, dlatego, żeby jeszcze potrenować.

Skutkiem tego było, po przejechaniu 10 km, rozerwanie pierwszej sztyki tak skutecznie, że nie nadawała się do niczego. Ze złością wyrzuciłem ją w powietrze, a ta po parabolicznym locie zawisła na drzewie czereśni, które rosło przy drodze Tarnowskie Góry – Siewierz. Tak osadziłem ją skutecznie, że leżała sobie w konarach przez długie lata, aż wycięli drzewa, a razem z nimi mój początek przygody.

Myślałem sobie, że jak tak dalej pójdzie, to nie zajadę nawet do Częstochowy i będzie blamaż u kolegów, że mamusia się rozmyśliła i nie dała pozwolenia na wyjazd. Na szczęście w tym dniu nieszczęścia się skończyły, a finał dnia był wspaniały. Zaczęło się nieszczerólnie, a jak się skończyło poznamy na końcu tej przygody.

Pierwszy nocleg z 3 na 4 sierpnia 1964 r. wypadł jak się rzekło w Częstochowie, u sióstr Elżbietanek przy ul. 7 Kamienic.

Pukam do furty i trzymam w ręce kopertę z listem polecającym od naszego ks. Anatola Horskiego. Nie wiem, co tam napisał, ale efekt był taki, że była kolacja, nocleg, śniadanie i błogosławieństwo na dalszą drogę. Może napisał, że jestem biedny i jadę rowerem, bo nie chciały ode mnie pieniędzy. Miło wspominam pobyt u sióstr, dały się przekonać o ofierze i widziałem, że były z niej zadowolone. Szczęśliwej drogi.

Jadę w kierunku Radomska na spotkanie z kamratami z Bytomia, z lekką obawą, czy wszystkie założenia wypalą.

Na rogatkach Częstochowy dołączyli do mnie chłopaki na rowerach, nieznajomi i tak w trójkę po tej nierównej drodze z klinkieru prujemy do przodu. Po kilkunastu km widzę grupę, o którą mi chodziło na horyzoncie i wielka ulga, że dochodzi do spotkania.

Kolegów, tyle, co poznanych żegnam i witam się serdecznie z dziewiątką bytomską.

TORBA

Po pierwszym odcinku wyprawy nogi mnie nie bolały, ale za to, co innego mnie zaniepokoiło. Bolały mnie ramiona od paska, na którym wisiała torba. Co prawda nie była ciężka, ale zrobiła swoje. Tu wyszło jak szydło z worka, że kiepskie było moje doświadczenie w wyprawach rowerowych, zwłaszcza dłuższych.

Czekamy na poboczu na sygnał do odjazdu.

W pewnym momencie podchodzi do mnie Prezes i mówi:

- Nowok, gdzie ty jedziesz?

- Jak to gdzie, na zlot – odpowiadam.

- A Prezes: Na jaki zlot?

- No, oczywiście do Rucian.

- Z tym szpagatem na plecach, to ty nie zajedziesz, nawet do Łodzi, a od Łodzi to jeszcze kawał drogi – stwierdza.

Podparł się rękami pod boki i tak rzecze:

- Jasiu chodź ty do mnie.

Przychodzi Jasiu, lat 17, 90 kg żywej wagi w dresie koloru mysiego o dwa rozmiary za dużego, na głowie kręcone włosy i zamienia się w słuch.

- Jasiu weźmiesz od Nowoka ta torba na swój pojazd, a Nowok będzie ci kupował jedna zupa na dzień, aż do Rucianego.

Jasiu od razu przystał na tą propozycję, a ja mogłem leczyć ramiona, bo były już czerwone, ale byłem zdany na łaskę Jasia.

Jasiu Klik, bo o nim mowa, był uczniem u rzeźnika i dlatego tak ładnie wyglądał, a że był z biednej rodziny, to na wyprawę dużo pieniędzy nie miał. Jedna zupa, przy jego posturze to „kropla w morzu”, ale dobre i to. Interes nie byłby możliwy, gdyby Jasiu jechał na rowerze, ale wtedy AIT był rowerowo-mopedowo-skuterowy i Jasiu jechał na mopliku i dlatego to mnie uratowało.

FUNDUSZE

Pieniądze na wyprawę miałem na książeczce PKO i starczyłoby ich na kilka wypraw, ale o tym nie wiedział Prezes i odwoławszy mnie na bok, tak do mnie mówi:

- Nowok, ja ci nie chcę robić wstydu, ale jak nie masz pieniędzy na te zupy, to ja Ci pożyczę.

- Spokojnie Panie Prezesie, to frycowe to i tak mnie nie będzie drogo kosztować – odpowiedziałem.

NIESPODZIANKA (DLA) PREZESA

Przed wyjazdem Pan Prezes tak mówił:

- Koledzy na zlocie pokażę wam niespodziankę.

I tak na tej drodze wspomniałem sobie o tej zapowiedzi i dyskretnie się pytam kolegów, co to za niespodzianka? Mówią, że ta niespodzianka to siodełko nowe i piękne. Podchodzę i chwalam ten ważny element każdego roweru. Rzeczywiście piękne, brązowe, już szlachetną częścią ciała wypolerowane z chromowymi sprężynami, istne cacko, odróżniające się od reszty roweru.

Gdybym wiedział, jakie będzie z tym cackiem nieszczęście, to bym w rewanżu za rozwiązanie problemu z moją torbą wyrzucił go do rowu, a goła szyca, może by nie zrobiła szkód na zdrowiu Prezesa.

Z każdym km zauważyłem, że Prezes coraz częściej stoi na pedałach, ale do Piotrkowa Trybunalskiego dojechaliśmy szczęśliwie.

ZUPA POMIDOROWA

Jak się rzekło słowo o zupie, to trzeba na tym etapie skończyć.

Za Radomskiem Jasiu stoi przy barze i daje znaki, żeby się zatrzymać. Chłopcy wołają:

- Jurek, Jasiu czeka na zapłatę za wiezienie torby.

W porządku, umowy trzeba dotrzymywać. Ktoś idzie do baru i zamawia 10 pomidorowych z makaronem. Po chwili już wiosłujemy aromatyczną zupę. Nagle jeden z kolegów tak mówi:

- Panie Prezesie. Mama moja też gotuje taką zupę, ale u nas makaron jest biały, a ten ma na końcach coś czarnego.

Jak przypatrzyliśmy się bliżej temu smakołykowi, to zobaczyliśmy pełno ugotowanych gąsek, częściowo spalaszowanych.

Co się działo w tym barze! O mało co by nie był - zdemolowany!

Dobrze, że nikt nie wymiotował, ale wystarczyło, żeby to zrobił jeden, a reszta by poszła za jego przykładem.

Delegacja, u kierownika baru wynegocjowała, że w drodze rekompensaty za zupę nie płacimy, a dostajemy po schaboszczaku z kością.

Schaboszczaki zapakowali, a ja miałem tego dnia, torbę wiezioną za darmo. Jasio nie oponował, a ja w drodze zachęty obiecałem, że na drugi dzień dostanie dwie zupy z dwoma bułkami. Chłopak był bardzo lubiany i znał się na żartach, ale słowa dotrzymałem.

POMPA

Jasiu miał polecenie, żeby jechał za grupą, albo przed, żeby oktanami nie psuł powietrza.

Trzeba zauważyć, że ruch w tych czasach na drogach, a zwłaszcza samochodowy był znikomy i dlatego dało się bezpiecznie podróżować, nawet głównymi trasami.

Schaboszczaki pachniały, a my zadowoleni z ubitego interesu barowego jedziemy dalej. Zaczęliśmy się niepokoić, bo na horyzoncie z lewej strony drogi pociemniało, a znaleźliśmy się w terenie niezabudowanym i rzadko można było spotkać drzewa. Chmury nas dopędziły i dokładnie zmoczyły. Było tylko jedno drzewo i do tego marne, a pech był w tym sensie, że za ok. 500 m asfalt był suchy. Niestety w składzie grupy nie było meteorologa, który by powiedział, naciśnijcie mocniej na pedały, to unikniecie pompy. Jasiu jechał z przodu, to był suchy i moja torba też.

Pod wieczór Prezes, jako kwatermistrz, załatwił nocleg w PGR, a że były tam krowy, to i mleko było za darmo.

Ja jadąc na rowerze wyścigowym, miałem autostradę z przodu i z tyłu po tym mocnym deszczu, ale że warunki były świetne, to doprowadziłem się do porządku. Dzień skończył się wspaniale, było ciepło, spało się wybornie.

Rano znów do zlewni, do golenia, mycia i do ciepłego prosto od krowy – mleka. Podziękowaliśmy pięknie i w drogę.

ZEGAREK

Po przejechaniu ok. 7 km stwierdzam, że nie mam zegarka.

Mając nadzieję, że leży sobie bezpiecznie na murku zlewni, robię zgnębiony w tył zwrot i ustalamy, że grupa jedzie wolniej, a jak dobrze pójdzie, to spotkamy się za dwie godziny. Nogi do pracy i obawa, czy w drodze rekompensaty nie zapłacę zegarkiem za nocleg i mleko.

Zajeżdżam z mocno bijącym sercem i emocji do zlewni i widzę, że zegarek się śmieje i nie wiem, czy ze mnie, czy z radości, że do mnie wrócił.

Zegarek ten marki „Sputnik” kupiłem w 1957 r. i po przygodach służy mi do dnia dzisiejszego.

Przy okazji chciałbym pokrótce wspomnieć, pobyt na Złocie Centralnym w Łąkie k/ Strzelna, gdzie po kąpieli w jeziorze, wszystko z łączki zebrałem oprócz zegarka. Przespałem się w namiocie i po przebudzeniu stwierdzam brak mojego „Sputnika”, znów mi chce zrobić niespodziankę, ta radziecka bestia. Dobrze u mnie na ręce nie miał, bo cały dzień się trząsał na nierównościach drogi i też, dlatego, że czasem zapominałem o nim.

Zrezygnowany wracam do namiotu, a naprzeciwko mnie idzie Jerzy Lubos i pyta:
- Czego szukasz, bo jeżeli zegarka, to go znalazłem.

Tak to Przyjaciel z Bytomia znów przywrócił go właścicielowi, tym razem na stałe.

Mówili kiedyś, kupujcie zegarki produkcji radzieckiej, bo są najlepsze na świecie, bo są najszybsze.

Mój chodzi wspaniale, wymieniłem kilka szkieł, dwa pokrętła, bo od nakręcania zrobiły się gładkie. Czasem coś się sąsiadom zza miedzy udaje.

Młody czytelnik pomyśli po przeczytaniu tego fragmentu. Pfi, wielka rzecz – zegarek, który dziś można kupić za kilka złotych. Ale tu uwaga. W latach sześćdziesiątych, zegarek nie był tani, a jeszcze wcześniej można było go kupić na talony górnicze, choćby marki „Ruhla”.

PRZYCHODNIA ZDROWIA

Z Prezesem było coraz gorzej, niespodzianka była bezlitosna.

Dowleliśmy się do Łodzi, prosto do Przychodni Zdrowia, prosto na stół, wprost w objęcia pielęgniarki, do tego młodej. Wzdychaliśmy, ten to ma szczęście. Jak zobaczyła tą część ciała na cztery litery, to jej, aż dech zaparło. Istny ogień! Poszedł w ruch pędzelek, jakieś płyny i tylko było za kotary słycać stękanie. Na koniec zastrzyk i Pan Prezes bładny znów jest wśród nas.

O jeździe na rowerze nie było mowy, potrzebny był rozruch, ale za parę godzin. Aby nie patrzeć na męki, Prezes polecił udać się do pobliskiego muzeum.

Drugie polecenie było, że Janek Warzycha, przodownik KOT nr 389, obejmuje kierownictwo wyprawy i od tej chwili mamy go słuchać.

Prezes idzie na dworzec z rowerem z nogami szeroko rozstawionymi jak cowboy i ma za zadanie załatwić następny nocleg.

To zdarzenie opisuję po namyśle, ale doszedłem do wniosku, że Pan Rajmund nie stawiałby przeszkód.

Ustala z Jankiem Warzychą, że będzie na asfalcie malował kredą znak - strzałkę w lewo, lub prawo z napisem: nocleg Bytom. Miało to dobrą stronę, bo była pewność, że mamy noclegi gwarantowane. Nie dowiedzieliśmy się jak to załatwił, ale musiał jechać pociągiem, wysiadać blisko wyznaczonej trasy, przemieścić się za miasto i znaleźć nocleg u gospodarza. Świetnie to robił, mało, że noclegi były za darmo, to jeszcze był jakiś poczęstunek, co dla części uczestników wyprawy miało kapitalne znaczenie.



**Na fot. Janek Warzecha z moją osobą pod Toruniem,
uczymy się jeździć parami**

MANDATY

Prezes pojechał w Łodzi na dworzec tramwajem, a nowy szef zdecydował, żeby przyspieszyć przejazd przez Łódź, jechać ul. Piotrkowską, pomimo zakazu poruszania się po niej rowerami.

Nie ujechaliśmy daleko, jak milicja nas zatrzymała i już wyciągali mandaty po 50 zł, od łebka. Jasiu Klik mówi, że 50 zł, to ma na całą wyprawę. Oni się pytają:

- Co ty jesz?

a on po śląsku:

- Na śniadanie to zupełną wodociągową, na obiad chleb na fotografii, a na kolację harcerskie piosenki.

Milicjanci mieli poczucie humoru, bloczki z mandatami pochowali i stanowczo skierowali nas na ulice równoległe. Jeżeli nas jeszcze złapią, to mandaty będą wyegzekwowane.

W owych czasach łączności doskonałej nie mieli, a my ryzykanci, znów po paru ulicach wyjechaliśmy na tą Piotrkowską i bez przeszkód dojechaliśmy do miejsca, gdzie zakaz nie obowiązywał.

Długo nie cieszyliśmy się dobrą drogą, bo gdy tablica oznajmiała: „Łódź żegna”, zaczęły się takie kocie łby, że jeszcze takich nie widziałem. Dobrze, że koła nie wyleciały z piast. Przemęczyliśmy ten odcinek fatalnej drogi i widzimy na asfalcie nocleg w prawo i tak Zgierz został z tyłu.

Prezes sprawił się znakomicie, ale jak się tam dostał nie chciał powiedzieć, może go to drogo kosztowało. Zdążył się już zaprzyjaźnić z gospodarzami. Widocznie zrobił dobre wrażenie, bo przed ławką stał koszyk jabłek. Gospodyni zaopiekowała się Prezesem, a my po kolacji z zapasem jabłek, udali się do stodoły na siano. Jak było widno to widziało się co się je, ale jak się ściemniło, to chrupanie było jak leci i trudno było odróżnić, czy to jest chrupanie jabłek, czy to jest chrupanie ziarna przez myszy.

Po takim zastrzyku witamin z boczkiem, rano był wielki animusz na trasie. Kilometry leciały, a Jasiu wypatrywał na prawo i lewo za barem i gorącą zupą.

RODZINA CHRZĄSZCZÓW

Zawsze dużym wydarzeniem był przyjazd na złoty kolegów z Częstochowy, na czele z rodziną Chrząszczów. Ojciec Mieczysław z synami Czesławem i Mirosławem.

Duża kultura i autorytet ojca zawsze mi imponowały, wzorzec godny naśladowania.

Czesław z zawodu nauczyciel miał dużo pomysłów na rozbawienie uczestników zlotów przy ogniskach z tych okazji. Szczególny numer miał w przebraniu Araba. Zawsze gdzieś zorganizował odpowiedni strój i w tym przebraniu, każdy brał go za autentycznego Araba Abdullaha, bo tak się nazywał.

Bardzo dużą wagę przywiązywał do roweru. „Diament” zawsze wyczyszczony miał więcej świateł i dzwonek niż wymaga tego kodeks drogowy. Światła były bardzo przydatne na zlotach typu: „Noc Świętojańska”.

Ostatnie moje spotkanie z Czesławem, bardzo przypadkowe, odbyło się w 2000 r. w KozłóWKu. Rozpoznaliśmy się po ok. 30 latach niewidzenia. Nawet pamiętał moje imię. Był z rodziną Mercedesem i spieszył się do Nałęczowa. Miał plany spotkać się z przyjaciółmi z dawnych lat i jak mi opowiadał wybrał się na zlot kolarski, ale nie spotkał tam nikogo z dawnych kolegów i to go zniechęciło na jakiś czas.

W lipcu 2010 r. odwiedziłem dom, w którym mieszkał w Częstochowie i miałem nadzieję, na dłuższą rozmowę. Przyjęła mnie bardzo sympatycznie Jego żona Barbara, która rozwiała moje nadzieje. Czesław zmarł przedwcześnie i nie zrealizował swoich planów, o których mi mówił. Pani Barbara dała mi na pamiątkę - bidon, który używał Czesław.

Smutno się robi, bo ciągle ubywa przyjaciół.

ZLOT – NOC ŚWIĘTOJAŃSKA

Jeżeli jesteśmy przy zlotach: „Noc Świętojańska”, organizowanych przez klub z Gliwic, muszę przyznać, że zloty te były dobrze zorganizowane przez ekipę Stanisława Radomskiego.

Ponieważ były to zloty nocne, jak sama nazwa wskazuje, kończyły się dobrze po północy i siłą rzeczy nie można było do domu wracać. Wszystkim tym, co nie mieli namiotów, organizatorzy zapewniali nocleg w swoich rozstawionych namiotach, tak, że nikt nie spał pod chmurką. Było szukanie kwiatu paproci, były losowane drobne upominki, przepiękne metalowe znaczki, śpiewy przy ognisku, było sympatycznie i radośnie.

Fantastyczny kompan – Jerzy Lubos, na zlotach grał na gitarze i śpiewał, a dziewczyny za nim szalały i długo siedziały przy ognisku. Szczególnie pięknie śpiewał „Starzyków”.

Oj, wesołe to było towarzystwo, aż łezka w oku się kręci.

PERFUMY

Wracając do głównego wątku, do dnia 07.08.1964 r. byliśmy wtedy w Łęczycy i tu w/g planu miałem pożegnać grupę i odbić w kierunku Warszawy, a konkretnie udać się do Brwinowa.

W tych czasach chodziłem z dziewczyną, która w czasie mojego podróżowania była tam u rodziny. Byłem z nią umówiony na dworcu kolejowym.

Jednak zaszły dwie okoliczności, które były przyczyną, że do spotkania nie doszło.

W tym czasie w kraju było dużo koni. Na targi wszyscy jechali na owsiany gaz, a produkty uboczne leciały na drogę. Do tego, w międzyczasie spadł obfity deszcz, to z tego końskiego łajna, zrobiła się żółta maź, która mnie całego przez opony, skutecznie pokolorowała i sperfumowała, że po wyschnięciu wszyscy się ode mnie odsuwali. I jak w takim stanie jechać do pachnącej dziewczyny?

Drugi argument, to chłopcy z grupy, którzy nie chcieli słyszeć, żebym ich opuścił, szczególnie chodziło Jasiowi, żebym został.

Po powrocie do domu jakoś się wytłumaczyłem z niedotrzymanych ustaleń, a tylko wuj dziewczyny się dziwił:

- Dlaczego Bożeno tak często latasz na dworzec?

SERWIS OBJAZDOWY

Dzień później 08.08, zaliczyliśmy Włocławek, gdzie rozpoczęli budować zapórę i zaczęły się defekty ogumienia, ze względu na zanieczyszczone drogi w związku z tą budową.

Do wieczora mieliśmy ok. sześć defektów, w tym trzy moje. Wszystkie zapasy gumy zostały zużyte i wisiało niebezpieczeństwo, że będzie koniec wyprawy dla tych, którzy na takich kołach jechali. W sklepach o takim ogumieniu nawet nie słyszeli. Do noclegu jakoś dojechaliśmy i zamiast odpoczywać było szycie i klejenie. Do tego przydał się mój zawód.

Na noclegu chłopaki naprawili gospodarzowi rower i z tego powodu był skromny poczęstunek. Rower był dla gospodarza niezbędny, bo Jego żona wozila na nim mleko do zlewni.

RYNKI

Do Torunia dojeżdżamy bez przeszkód od strony ogumienia, ale niebezpieczeństwo zawsze istnieje i tylko czyha na nieuwagę.

Wjeżdżamy na most i w prawo do rynku i w tym momencie ktoś zajeżdża mi drogę i w rezultacie moja przerzutka po kraksie rozlatuje się na drobne elementy. Części do niej to szukali nawet przechodnie. Mechanik po klepaniu na krawężniku części blaszanych jakoś wszystko poskładał i do końca zlotu wszystko grało.

Ponieważ nie było sensu, żeby wszyscy czekali na chodniku zapadła decyzja, że trzech z nas zostaje, a reszta jedzie na rynek i tam na nas czeka. Mechanik sprawdził sprzęt i tak umorusany, razem z nami, jedziemy na rynek.

Na rynku nikogo z grupy nie ma, czekamy z godzinę i nikt się nie pokazuje. Wreszcie pytamy przechodniów, czy nie widzieli grupy kolarzy z bagażami i dopiero od nich dowiedzieliśmy się, że w Toruniu są dwa rynki, i wreszcie się spotykamy.

Trochę było pretensji jednych do drugich, ale wszystko się uspokoiło, gdy napelniliśmy żołądki.

Prezesa z nami jeszcze nie było. W dalszym ciągu z nami nie jeździł i dalej załatwiał noclegi. Tu trzeba nadmienić, że Pan Rajmund był członkiem Ateistów i Wolnomyślicieli i specjalnie nie zachęcał od zwiedzania obiektów sakralnych, ale też nikomu nie zabraniał. Miał pełny szacunek do osób konsekrowanych. Bywał w kościołach, przyznawał punkty za ich zwiedzanie, a poglądy na wiarę, były jego osobistymi poglądami. Do końca życia był im wierny, co namacalnie było widać w ostatniej jego podróży.

NIELETNIA TURYSTKA

09.08, z wioski za Toruniem wjeżdżamy do Chełmna, zbliża się pora noclegu, w związku z tym wypatrujemy znaków na asfalcie, i pech zatrzymuje mnie na drodze bez powietrza w kole. Decyzja szybka Janka Warzechy. My w trójkę z Jasiem, moim nieodłącznym pomocnikiem, zostajemy, a reszta szuka noclegu.

Po założeniu gumy nagle się ściemniło i nie było sensu po ciemku jechać dalej.

Decydujemy się na nocleg i udaje się to w pierwszym napotkanym domu. U gospodarza spanie wyborne, można się było doprowadzić do normalności i rano wyspani szykujemy się do podróży, a tu niespodzianka.

Córka gospodarzy chce jechać z nami, a miała może z 16 lat, trochę się wyjazd przedłużał, była niezręczna sytuacja. W końcu wyjaśniliśmy jej, że ma nieodpowiedni rower, a my jedziemy bardzo szybko i nie dałaby rady. Popłakała się, więc trochę zabajerowaliśmy, że będziemy wracać tą samą drogą i mając na uwadze, że musimy szukać resztę grupy z ulgą ruszamy. Ktoś się musiał z nas jej spodobać, ale nie wiadomo, kim był ten winowajca całego zamieszania. Ja jej na otarcie łez, zrobiłem zdjęcie i wysłałem.

Po przejechaniu może 500 m, widzimy na drodze grupkę szykującą się do odjazdu. Nie wiedzieli, co robić. Czy jesteśmy z przodu, czy z tyłu. Z tyłu to by znaczyło, że mogliśmy przejechać wcześniej, a to, dlatego, że w nocy był deszcz i zmył kredę na asfalcie. Właściwie to z przodu, to nie mogliśmy być, bo widzielibyśmy znaki wieczorem. Każdy miał swoje zdanie na ten temat. Ale problem z głowy, bo też nas zobaczyli.



Na fot. Dziewczyna, która z nami chciała jechać

AMERYKANIN

Z daleka widzimy, że jest ich ośmiu, razem z Prezesem. Coś nam nie pasowało. Czyżby syn gospodarza, chciał jechać z nami? Skąd się wziął ten ósmy, zaraz się wyjaśniło.

Prezes trochę jeździł na tym swoim siedzeniu i jadąc rozglądał się za noclegiem i wtedy spotkał tego ósmego, a że był komunikatywny – zagadnął go. Ósmy dawał znaki i mówił w obcym języku, że nie rozumieliśmy, ale później odpowiedział po niemiecku i tu – zaskoczyło. Prezes jako mieszkaniec Śląska, tutaj urodzony, umiał język niemiecki i tak się dogadali. Niech ktoś powie, że nie warto znać obce języki.

Ten ósmy był Amerykaninem urodzonym w Chełmie przed, lub w czasie wojny jako narodowości niemieckiej. W ramach przemieszczania ludności niemieckiej na zachód, wraz z rodzicami i bratem osiedlili się w Niemczech. Potem brat założył rodzinę i w Niemczech pozostał, a on z rodzicami wyemigrował do Ameryki. Tam skończył studia i chciał wziąć ślub, a do tego potrzebna mu była metryka urodzin, która była w Tczewie. W tym celu przyjechał do Niemiec, do brata, a ten mu kupił nowy rower „Braun” i opłaciwszy noclegi w hotelach, po wyznaczonej trasie udał się do Polski, aby poznać uroki miejsca urodzenia. I tak na noclegu, chłopaki poznali się z tym ósmym, to znaczy z Amerykaninem.

Do Chełmna był jeszcze kawałek drogi, a Prezes mu wytłumaczył, że nie zdąży do hotelu i warto z nim zostać u gospodarza i porozmawiać o wielkim świecie.

Gospodarz był gościnnie i wskutek tego rano wszyscy byli niewyspani.

Rower miał nowy, z nowym siedzeniem i też pokazywał na tylną część ciała, że już też ma dość jazdy na rowerze.

Chciałem z Amerykaninem zrobić interes i kupić ten rower, a na dokładkę dać mu mój, żeby mógł dojechać do Gdańska. Nawet chciał go sprzedać, ale po zajrzeniu do paszportu, widniała tam adnotacja, że wjechał do Polski na rowerze, była marka i nr ramy. „Braun” był rowerem turystycznym, piękny kolor i wyposażenie z przerzutką w torpedzie.

Nazajutrz, po przyjechaniu do Chełmna i po załatwieniu w Urzędzie metryki, zaprosił nas do restauracji na przyjęcie. Ja na ochotnika, zostałem przy rowerach i przy tej okazji mogłem dokładnie zapoznać się z „Braunem”. Koledzy zadbali o mnie, przez to głodny nie byłem, a z mojego poświęcenia zyskałem ich sympatię.

Z Chełmna, wracamy się do skrzyżowania i robimy sobie pamiątkowe zdjęcie przed drogowskazem i na tym drogowskazie widać odległość do Gdańska prosto 147 km, do Malborka, w prawo 102 km.

Czas się pożegnać z Prezesem, który pociągami jedzie jak najbliżej Rucianego, bo tam na Zlocie jest sędzią konkursów sprawnościowych i musi przygotować trasy.

Ja i Jasiu Klik z moplikiem oraz Janek Warzycha jedziemy trasą wcześniej wytyczoną przez Gdańsk i po drodze żegnamy Amerykanina, który musi jechać na statek do Hamburga. Reszta grupy, najkrótszą trasą jedzie na metę do Rucianego.

Amerykanin pyta się, przez tłumacza, a był z nami chłopak, który bardzo dobrze znał niemiecki, co w dotychczasowej podróży nam się podobało? Ktoś mówi, przez kurtuazję, że spotkanie z nim samym, ktoś z milicjantami, a ktoś ze spotkania z pasącymi się krowami.

Uznając, że ta ostatnia przygoda warta jest opisania, chciałbym pokrótce ją przedstawić.

MLEKO OD KROWY

Za Włocławkiem jedziemy sobie drogą, już nie zanieczyszczoną, przy pięknej pogodzie, sama radość. Humor dopisuje i jedziemy sobie rozmawiając całą szerokością jezdnii. Ktoś z grupy woła, jakie ładne krowy, ktoś inny, przydałoby się trochę mleka, bo chce się pić. Długo się nie namyślając stajemy na poboczu i zastanawiamy się czy przypadkiem nie można by od gospodarza kupić tego mleka? Ale wokół żadnej żywej duszy, tylko pojemniki na wodę stoją.

U nas w domu była krowa, więc wiedziałem, że rano, krowa musi być wydojona i mówię, ktoś tu musi przyjechać, żeby te krowy wydoić. Ktoś mówi, że może byśmy sami wydoili. Mówią:

- Jurek, jak ty masz w domu krowę, to chyba umiesz to robić.

Krowa była, ale doiła ją mama, a do tego trzeba wodę, mydło i ręcznik, żeby to, co w nim jest mleko, porządnie umyć, bo mleko nie gotowane, musi być czyste. Ale moje wyjaśnienia nie skutkowały, chciało się pić i mnie też.

Sytuację uratował Jasio, który pracował u rzeźnika i miał do czynienia z wymionami, z których robi się kielbasę zwaną mortadela. Można ją jeść bez chleba. Jasiu wyszukał krowę łagodną, która nie uciekała, położył się pod nią i sikał białym płynem prosto do ust. Szło mu to sprawnie, a gdy się porządnie obdoił, klęknął i do bidonów zatankował całą zawartość wymiona.

Krowa może dać na ranny wydój, nawet 10 litrów mleka, coś tam się wylało, ale każdy miał pełny bidon.

Nagle słychać jazgot, podobny do tego, jak czasem, za weselem ciągnęli na drucie puszeki po napojach. Na ucieczkę było za późno. Jakby to nie nazwać, kradzież się wydała.

Z górki jedzie kobieta, po polnej drodze na rowerze, a z przodu i tyłu, gdzie się da, ma powiązane metalowe bańki na mleko. To one wydawały taki jazgot. Grzecznie ją witamy, zanim zeszła z roweru, przeczuwając najgorsze. Ale ona, jadąc na drodze pełnej dziur, patrzyła pod koła i wcale nas nie widziała. Ośmieleni pytamy ją, czy nie sprzedałaby nam tego mleka. Zgodziła się chętnie i wzięła się do roboty i trzeba zaznaczyć, że wymiona umyła.

Z bańki naląła nam pełne bidony, ale o zapłacie mowy nie było.

Podziękowaliśmy pięknie i tak jadąc myślał nie jeden z nas, że nie bardzo ładnie postąpiliśmy. Ta pani pewnie bardzo się dziwiła, że jedna krowa była bez mleka.

Myślę, że młodość ma swoje prawa i trzeba czasem jej to wybaczyć. Takie rzeczy, nawet po wielu latach, pamięta się bardzo dokładnie.

I tak skacząc z kwiatka na pokrzywę wróćmy do sytuacji pod drogowskazem.

DROGOWSKAZ

Machamy sobie na pożegnanie i już jesteśmy sami z Amerykaninem. Rozmowa z nim nie może się udać i po drodze w jakimś miasteczku, gdzie był zabytek do zwiedzania, żegnamy się: ja po polsku, Jasiu z Jankiem po niemiecku.

Trzeba stwierdzić, że mieszkańcy Śląska podstawowe zwroty mają przyswojone w tym języku z racji wspólnego zamieszkania przez długie lata.

Długo do siebie machamy rękami, aż chłopak znika nam z oczu. Widzieliśmy się dwa dni, a smutno było się z nim rozstać, zdając sobie sprawę, że się z nim już nie zobaczymy.

Z Chełmna do Tczewa jest kawał drogi, ale wyjścia nie ma, musimy tę trasę połknąć. Mamy tylko obawę, czy się Jasia moplik nie zatrze. Tempo mamy ostre, zatrzymując się tylko w mijanych miasteczkach.

Po południu jesteśmy w Tczewie potwornie zmęczeni i głodni. Nie szukamy żadnego baru, tylko idziemy do restauracji. Za taką mordęgę coś się należy solidnego wrzucić na ruszta. Z Jankiem idziemy na sałę, a Jasiu pilnuje rowerów i chłodzi swój moplik.

Zamawiamy, jakby inaczej wypadało po mieszkańcach Śląska, po piwie. Janek dużym, a ja mieszkaniec peryferii Śląska po małym.

Dzisiaj piwo to rozlało się po całym kraju, tak jak kiedyś mleko. Ale kiedyś mleko było mlekiem, a dzisiaj nie wiadomo ile mleka jest w mleku.

Jasiu dostał wodę mineralną, która to spotęgowała u niego głód.

W restauracji zaszło rzadko spotykane wydarzenie, co przyprawiło Jasia o męki.

Zamówiliśmy z Jankiem, dwie zupy i dwa drugie dania, nie mówiąc, że to dla nas dwóch. Kelnerka przyniosła sztućce na cztery osoby. Gdy jej wyjaśniliśmy sytuację, dziwiła się, że tyle zjemy. Patrząc na mnie zastanawiała się, gdzie mi się to jedzenie zmieści. Janek był kawał chłopca i na niego nie zwróciła uwagi, ze zrozumiałych względów. Zjedliśmy to błyskawicznie, tylko czekanie na jedzenie, jak to bywa w restauracjach trwało w nieskończoność.

Jasiu dreptał koło drzwi, dając znaki, że też jest głodny.

Doszliśmy z Jankiem do wniosku, że tego jedzenia to jest za mało, jeszcze by się przydało po jednym pierwszym i jednym drugim daniu. Goście w restauracji zaczęli komentować zaistniałą sytuację, a my rozochoceni na tym nie skończyliśmy.

W rezultacie kelnerka podliczyła Jankowi cztery drugie dania i pięć zup, a ja poprzestałem na trzech drugich daniach i czterech zupach. Klienci oniemieli, gdzie się to wszystko podziało.

Wyszliśmy z restauracji sztywni, a Jasiu chciał nas pobić, tak był wściekły, a my nawet nie moglibyśmy się bronić.

Gdy wychodziliśmy z restauracji tak mówimy do kelnerki:

- Po nas przyjdzie na to miejsce kolega i proszę mu dać jedno drugie danie, a zup ile potrafi zjeść. Gdy skończy jedzenie, to my wracamy i zapłacimy.

Jasiu długo nie był przy stoliku, a jak wyszedł to się śmiał od ucha do ucha. Zapomniał o wszystkim. Zapłaciliśmy tylko za jedno drugie danie i siedem zup.



**Na fot. Część ekipy z Bytomia,
w koszuli w kratę Amerykanin**

ROZPOZNANIE

W kiosku obok restauracji, jak czekaliśmy na Jasia, kupiliśmy na kolacje i śniadanie na drugi dzień: siedem torebek kakao z cukrem, błyskawiczne na wodę, sześć konserw mięsnych i rybnych, chleb duży i tak zaopatrzeni poprowadziliśmy rowery za miasto, bo za bardzo się nie dało na rowery wsiąść.

Za miastem do cienia i rowu, to było wszystko, na co było nas stać. Przeżarcie było totalne, ale skutków ubocznych nie było wcale, tylko ranne posiedzenie było trochę dłuższe od normalnego.

Plan po odpoczynku był klarowny. Musimy dojechać ile się da, żeby na drugi dzień zaliczyć Gdańsk i przez Nowy Dwór Gdański, zajechać do pierwszej wioski za Malborkiem. Zadanie ambitne i z pewnymi przygodami.

Jedziemy z początku z zaciśniętymi zębami, a z biegiem km, trochę szybciej. Ale czas leci nieubłaganie i już zaczyna się ciemnić. Czas na znalezienie noclegu.

Janek Warzycha przypomniał sobie jak z Heńkiem Grzesikiem nocowali w jakiejś wiosce. Szczęście dopisało i rozpoznał gospodarstwo.

Po wejściu na podwórze, wyszła gospodyni z córką i po naszej prośbie zgodziły się na nocleg. Janek pyta się:

- Panie mnie sobie przypominają.

Ja pomyślałem, że Jankowi z przejedzenia i wysiłku pomieszało się w głowie. Panie zaprzeczają, że kiedykolwiek go widziały. Janek mówi, czy pamiętają, jak parę lat wcześniej śmietaną opatrywały mu poparzone ręce, na tej oto studni, jak wylała się gorąca woda z kochera. Były wtedy uściski i przeprosiny, że to nierozpoznanie było na skutek już zapadającego zmierzchu.

Wizyta z tym nieszczęśliwym przypadkiem była parę lat wcześniej i już wtedy, koledzy z Bytomia tak daleko się wypuszczali, było to w pierwszym okresie działalności klubu.



**Na fot. Janek Warzecha, Jasiu Klik i gospodarze spod Gdańska,
tam gdzie Janek poparzył ręce**

JASIU KLIK

Jasiu był na naszym utrzymaniu, za to woził bagaż, robił śniadania i kolacje, było z nim bardzo wesoło. Nam robił kanapki i układał jak w restauracji, choć podłoże było różne. Raz klepisko w stodole, a czasem na stole u gospodarzy. Z noclegami nie było trudności, inne były czasu, ludzie się lubili, byli jeden dla drugiego serdeczni. Dawali czasem nie tylko nocleg, ale też coś do jedzenia. Jasiu sam nie robił sobie wiele trudu, swoją porcję jadł jak leci, najpierw konserwę, następnie masło, a na końcu chleb. Popił to wszystko herbatą i po ceremonii.

Jednego razu w sklepie zażyczył sobie krupniok, pół funta i do tego trzy zymły. Pani sklepową dwa razy się pyta:

- Co ty chłopcze chcesz?

Dopiero Janek jej wytłumaczył, o co jemu chodzi.

Miał więcej wolnego czasu od nas, z racji młodego wieku nie golił się, nie oglądał za ładnymi dziewczynami, nie reperował tego swojego moplika, ale choć był nie młody to dzielnie walczył z kilometrami, a miał, co wieźć.

10.08.64 r. żegnamy miłych gospodarzy. Ja robię pamiątkowe zdjęcie i bierzemy kurs na Gdańsk.

Zwiedzanie Gdańska było błyskawiczne. Ja i Janek byliśmy w Trójmieście parę lat wcześniej. Janek na wyprawie rowerowej, a ja na wędrownych wczasach organizowanych przez PTTK. Jasiu dostał trochę wolnego i pochodził sobie po ulicy Długiej, a my pilnowaliśmy sprzętu.

Z Gdańska mieliśmy plan jechać do pierwszej wsi za Malborkiem. Żeby nie wracać przez Tczew, obraliśmy kurs przez Nowy Dwór Gdański. Przed nami kawał drogi, należało mocno nacisnąć na pedały. Gumy były w coraz to gorszym stanie. Po drodze, nigdzie nie można było ich kupić, ale była w sklepach elektrycznych taka czarna izolacja, to robiliśmy gumom opatrunki, a że drogi w tym rejonie były dość dobre, to i defektów nie było.

Jechaliśmy bardzo szybko i za Nowym Dworem Gdańskim, zamiast skrócić w prawo, pojechaliśmy w lewo i zanim się zorientowaliśmy o pomyłce, było za późno wracać.

PROMY

Po przeglądzie map okazało się, że musimy się przeprowiać promem. Ale prom był po drugiej stronie i próbowali załadować na prom krowy. Jedna wchodziła, a druga próbowała wracać na pastwisko. Trochę to trwało, a czas uciekał. Wreszcie są, z tej strony rzeczki i „kierowca” promu mówi, że musi poczekać, bo z trzema pasażerami to nie opłaca się płynąć. Ktoś przyszedł i wreszcie jesteśmy po drugiej stronie.

I znów pędzimy do celu, a tu znów niespodzianka, bo okazało się, żeby dostać się na właściwą drogę, to trzeba jechać na przeprawę drugim promem, ale na szczęście czekał na nas i tu mieliśmy szczęście.

Problem pojawił się z żołądkami, które nie były załadowane i grały marsze, jeden za drugim. Nie było sklepów i dopiero w jakiejś wsi przed Malborkiem, była otwarta cukiernia. Zważywszy, że była już późna pora, w tej cukierni były tylko ciastka, ale ogromne i o ile sobie przypominam po 1 zł. Kupiliśmy ile ich było, chyba z 20 szt. i to nas uratowało, bo wydarzenia tego dnia bardzo się skomplikowały.

Przez te promy i przez dłuższą trasę, nie było sensu zatrzymywać się w Malborku, tylko dopóki można było jeszcze jechać, pruć za miasto na nocleg.

NIELEGALNY NOCLEG

Wreszcie jest wieś i już ciemno, próbujemy znaleźć jakiś kąt do spania, a tu niespodzianka. Z jednej strony niezamieszкана wieś, a z drugiej strony wojskowe lotnisko i surowy zakaz kogokolwiek przyjmować na nocleg. Do następnej wsi kawałek drogi i trzeba by było rowery prowadzić.

Polacy to naród nie bardzo strachliwy.

Znalazł się człowiek, który tak do nas mówi:

- Zaprowadzę was do stodoły, ale nie możecie z niej wychodzić do rana, nie świecić i zachowywać się cicho. Jakby was ktoś podkablował, to weszliście do stodoły bez mojej wiedzy.

Nie mieliśmy innego wyjścia, tylko ładnie w tej sytuacji podziękować dobremu człowiekowi. Zjedliśmy te ciastka, jak deserowe talerze, ale popić to już nie mieliśmy nic, chyba, że benzynę z baku moplika.

Po takim wysiłku śpi się jak zabity, ale my ze strachu spali jak zając pod miedzą, czy ktoś nie przyjdzie po nas. Szczęśliwie doczekaliśmy ranka.

Ustaliliśmy, że z Jankiem stodołę opuścimy pierwsi i że damy znak Jasiowi, żeby wystartował, co łączyło się z hałasem.

Na drodze pusto, dajemy znak i szybko odjeżdżamy do lasu za wsią, gdzie, co jakiś czas na słupkach wisiały tablice ostrzegawcze o zakazie postoju. Zaczęliśmy się niepokoić, bo Jasiu nie dojechał, czyżby go zatrzymali? Czekaliśmy może z pół godziny, nie wiedząc, co w tej sytuacji uczynić.

Wreszcie słyhać moplika, który jedzie ile wlezie, a na nim Jasiu cały mokry ze strachu. Już nie pytamy o przyczynę, tylko jedziemy, żeby wyrwać się z zagrożonej strefy.

Wreszcie jest sklep, a w nim wszystko, czego nam potrzeba.

Rano stosowaliśmy na drugie śniadanie pół litra śmietany z bańki dziesięcilitrowej, nabieranej taką chochlą. Do tego słodkie bułki bez żadnego nadzienia. To było jedzenie smaczne i kaloryczne. Dobry humor wrócił i jest czas, żeby wyjaśnić, co było przyczyną zamieszania.

Jasiu wyprowadził moplika przed stodołę i tak zakręcił pedałami, że zamiast zapalić, zalała się świeca, co stwierdził fachowo przechodzień. Zebrało się parę osób i razem z Jasiem wykręcili świecę, wyczyścili. Jeden mówił, że przerwa na świecy za mała, drugi, że za duża, ale Jasiu tak chciał już odjechać, że sam ją wkręcił. Popchali go i już jechał na spotkanie z nami.

Posileni wsiadamy na rowery i obieramy kurs przez Dzierzgoń do Pasłęka, bo tam była ważna, bo słynna biblioteka. Mieliśmy przykaz, jeszcze w Łodzi, od Rajmunda, żeby ją zaliczyć. Po jej zaliczeniu jedziemy do Morąga i za nim rozglądamy się za noclegiem.

W SWATY

Wybieramy małe gospodarstwo, a w nim wdowa, z dwoma dorosłymi już córkami. Jak się mama córek dowiedziała, że jesteśmy ze Śląska, a Janek jest górnikiem i dobrze zarabia, to koniecznie chciała Janka zainteresować jedną z córek.

Jak sobie przypominam, z rozmów w dalszej części trasy, to się śmialiśmy z Janka, czy czeka nas droga powrotna, tą samą trasą.

Musiały być bardzo ładne, a tak prawdę powiedziawszy, była to szansa wydostać się z tej dziury bez perspektyw. Chłopaki uciekali ze wsi za pracą i tylko przyjeżdżali w rodzinne strony w ramach urlopów.

Matka córek ugościła nas jak mogła najlepiej.

W sakwach leżały kupione w Tczewie torebki z kakao i najwyższy czas je zużyć. Byliśmy trochę wcześniej na noclegu i poprosiliśmy Panią gospodynię, żeby ugotowała nam to kakao, ale nie powiedzieliśmy jej, że zagotować trzeba z wodą, a ona nie wiedziała i to kakao zagotowała z wiadrem mleka. Zrobiła się prawie zupa. Piliśmy wszyscy, a i tak została spora porcja. Pani gospodynii w zamian za pożywny płyn, dała nam na drogę sporą ilość boczku, który nam służył parę dni. Nawet w upale się nie psuł, był dobrze uwędzony, chyba przez Nią samą.

Zapewniamy, że tu wrócimy w drodze powrotnej, zegnamy się i widzimy już, będąc dosyć daleko jak jeszcze kiwają rękami.

Takie rzeczy się pamięta długo, ale oczywiście było, że wrócić tu nie możemy, chyba, że w przyszłości. Same też zrozumiały, że to był żart i chyba pretensji nie miały. Janek z ożenku się wymigał, a my z Jasiem od bycia друзbami.

STOMIL

Bierzemy kurs na Olsztyn, a ponieważ w Olsztynie był „Stomil”, to miałem nadzieję, że będą gumy, ale i też obawa o to, że takich gum nie produkował. U nas były enerdowskie kowalutki i radzieckie tzw. treningowe.

Po opuszczeniu gościnnych kobiet jechaliśmy dość wolno, bo zaczęliśmy już odczuwać trudy rajdu, było dość gorąco i trasa zaczęła być pagórkowata i kręta.

Do Olsztyna zajechaliśmy w porze obiadowej i po zaliczeniu baru mlecznego, zacząłem się rozpytywać, w jakiej części miasta znajduje się fabryka opon „Stomil”, mając nadzieję, że będzie sklep fabryczny.

Napotkany chłopak mówi, że sklep rowerowy jest na sąsiedniej ulicy. Wchodzę do sklepu i zastanawiam się czy całować ekspedientkę czy gumy. Nowiutkie gumy szytki marki „Kowalit”, leżą sobie na półce i oczekują na mnie. Przez głowę przelatuje myśl, że może na talony, ale zbędna obawa, mogę kupić ile chcę.

Kupuję cztery sztuki, dwie na koła, a dwie do worka, a cztery na hasiok. W torbie zrobiło się więcej miejsca, bo ubyłoby dwie sztuki niemiłosiernie sfatygowanych.

Opuszczamy Olsztyn po zaliczeniu paru zabytków i pieczętek, w czym był niezrównany Janek Warzycha.

Z Olsztyna przez Biskupiec do Mrągowa nie jest daleko, a tu niespodzianka, trasa bardzo trudna, z podjazdami wzbudzającymi respekt i zjazdami jak po serpentynach karkonoskich. Moplik z Jasiem ledwo dyszy i sapie z wysiłku, a my zaczynamy się męczyć na naszych rowerach.

EKWIPUNEK

Po trudach i niespodziankach Prezes przed odjazdem mówił, żeby na rajd zabrać koszule wełniane, bo one chronią przed zapaleniem. Chyba miał rację, bo spotkaliśmy na trasie i deszcz i spiekotę, a nikt z nas nie zachorował.

Przydały się też koszule z długimi rękawami, bo piekło czasami niemiłosiernie, i czapki kolarskie, bo wtedy nikt nie słyszał o kaskach. Nawet na motorach nikt nie jeździł w tym praktycznym wynalazku.

Buty kolarskie były dostępne i były bardzo dobrej jakości z wkładką metalową, która zabezpieczała przed uszkodzeniem stopy.

Wszystkie te części ubioru kolarskiego były w smutnych barwach, takie siermiężne.

Bidony były aluminiowe z korkiem, a w nim kawałek wężyka. Wtedy myślałem, że wszędzie są takie same, dopiero oczy mi się otworzyły, gdy zobaczyłem w Rucianem turystów z zachodu.

Na pewno nie były te stroje tak kolorowe jak obecnie, ale w porównaniu z naszymi to niebo, a ziemia.

Moje koszule to były tak przepalone, że gdy jechałem po tych serpentynach przed Mrągowem, to pękały z naprężenia. Nie kupowałem nowych, bo chciałem wykończyć te zabrane z domu, a nowe od turystów z zachodu były bardzo drogie.

DRZEWO

Z Mrągowa, do Rucian jest ok. 30 km, i z tego wynika, że teraz to chyba by można było zająć pieszo, to znaczyło, że chyba już jesteśmy na miejscu.

Jedziemy sobie zrelaksowani do mety, do końca podróży. Przed nami jedzie trzech kolarzy, jeden w białej koszulce, dwóch pozostałych w kolorowych.

Mówimy:

- Ci to chyba z zachodu?

Nagle jeden z nich zjeżdża z jezdni i wali prosto w drzewo, a następnie do rowu. W parę minut jesteśmy na miejscu. Kolarz jęczy z bólu i widzę, że to kolega, trochę starszy ode mnie. Tym pechowcem jest Fryderyk Engel, instruktor turystyki kolarskiej PTTK nr 15.

Uderzenie w drzewo pomimo małej szybkości spowodowało złamanie obojczyka. Telefonu na miejscu nie było, zanim dodzwonili się do pogotowia, upłynęło dość dużo czasu. Współczuliśmy serdecznie koledze, ale cóż mogliśmy zrobić dla niego?

TRUSKAWKI

Po drugiej stronie rowu stała kobieta z wiadrem truskawek. Takich jeszcze nie widziałem, takie duże i smaczne. Częstowała Fryderyka, ale on nie miał chęci do jedzenia. Natomiast my w trójkę kupiliśmy całe wiadro tych owoców i nie trwało to długo jak już było widać dno. Zebrało się sporo gapiów i kolarzy, którzy kręcili się po okolicy.

Kobieta z dziećmi rwała truskawki nieopodal na działce i bardzo szybko się pozbywała towaru.

Truskawki je się bardzo szybko i zjedliśmy w trójkę dwa wiadra.

Niestety łakomstwo ma to do siebie, że mści się okrutnie. Już na wieczór, coś było nie tak. Język stawał kołkiem i były trudności z mówieniem. Wynika z tego, że się musieliśmy przewitaminizować.

Na drugi dzień dolegliwość złagodniała, ale język długo jeszcze swędział, o jedno wiadro było za dużo.

POGOTOWIE

Tak siedzieliśmy nad rowem i czekaliśmy na pogotowie. W międzyczasie ktoś przyjechał z organizatorów i ktoś z Okręgowej Rady Turystyki Kolarskiej w Katowicach i pojechali z pogotowiem do szpitala.

Przywieźli go tego samego dnia w gipsie. Był do końca zlotu, aż ktoś z rodziny przyjechał samochodem i go zabrał do domu.

Kolega Fryderyk był zegarmistrzem i miał zakład na ulicy Wieczorka w Katowicach. Brał czynny udział w zlotach PTTK, ale był też aktywnym turystą kolarzem Polskiego Związku Kolarskiego.

Często jeździliśmy na zloty PZKol.

Były dwa silne ośrodki: jeden w Łodzi, a drugi we Wrocławiu.

PZKol, dział turystyki kolarskiej honorował pkt. PTTK i w połączeniu z zlotami obu organizacji zdobyłem trzy stopnie, odznaki: brązową, srebrną i złotą. Bardzo ładnie zaprojektowane i wykonane.

Po zabranii kolegi Fryderyka przez pogotowie udaliśmy się na metę. Wjechaliśmy okolicznościową bramą i po załatwieniu formalności nareszcie mogliśmy udać się na kwatere.

Kwaterna składała się z ogromnych namiotów wojskowych, a spanie było na słomie ułożonej bezpośrednio na trawie. Rano koniecznie trzeba było się oczyścić ze słomy, a dopiero później pójść do długiej rury z kranami. Ciepła woda była, ale nasi tzn. Polacy myli się w zimnej. Zaopatrzenie było wystarczające, jeżeli chodzi o wyżywienie. Zabezpieczał to miejscowy GS. Koledzy z Bytomia byli rozproszeni po różnych namiotach, a ja spałem z kolegami z Łodzi.



Pamiętka z mety w Rucianem, na ławce siedzę Ja

MÓJ ODPOCZYNEK OD ROWERU I ROWERU ODE MNIE

Spanie na metach zlotów w różnych miejscach nawet dzisiaj skutkuje tym, że łatwo zawiera się znajomości i ja tych znajomości mam bardzo dużo. Spanie w swoim gronie też jest zaletą, ale nie zawsze jest taki wybór możliwy. Czasem organizatorów coś pokręci. Turyści z zachodu i nasi oficjele spali w innych warunkach, w domkach campingowych. My mieliśmy za to większy luz, jezioro było czyste, ciepłe i w zasięgu kilkudziesięciu metrów.

Ja osobiście miałem dość roweru, a raczej jazdy na nim i natychmiast odstawiłem go na parking i odebrałem w dzień wyjazdu. Dobrze zrobiłem, bo należał mi się odpoczynek, bo przecież wyjechałem na urlop.

KONKURSY SPRAWNOŚCIOWE

Pan Rajmund, jak już zaznaczyłem, był przez, ZGPTTK wyznaczony na sędziego konkursów sprawnościowych, a ja mu pomagałem nosić i ustawiać ten cały majdan.

Na konkursach było masę uczestników, a najbardziej był obsadzony przełaj kolarski. Walka była tak zacięta między Polakami, a resztą zza granicy, że połamanych kół było dosyć dużo. Ktoś z Bytomia zajął czołowe miejsce, a ja byłem na bardzo niebezpiecznym miejscu, gdzie z górki wjeżdżało się do wody. Byłem tam pomagierem sędziego, do wyciągania pechowców z tego bagienka. Nasi byli górą. Nigdy później nie widziałem takiej brawury. Były jeszcze inne konkurencje sprawnościowe, ale ten przełaj najbardziej utkwiał mi w pamięci.

Najbardziej z tego przełaju utkwiała mi w pamięci, nieprawdopodobna zręczność kolarza z Belgii. Na tym przełaju było sporo pękniętych szprych. Belg niskiego wzrostu, w średnim wieku miał duże ubytki palców. W prawej i lewej dłoni miał po trzy palce. Nie będę tu precyzyjny. Ale tymi pozostałymi palcami tak zręcznie operował, że koła były szybko uzupełnione szprychami i idealnie wycentrowane na swoim przyrządzie. Było pełno gapiów i nie ma się, co dziwić.

Widziałem go jeszcze na innych zlotach AIT, ale tam nie miał już tyle roboty, bo tego typu przełaje – zlikwidowali. Jak się okazało, to był zaplatasz szprych w fabryce rowerów w Belgii. Takie rzeczy pamięta się nawet bez zapisków.



W Rucianem taka przeszkoda to była pestka

PREZES - RAJMUND BYCZEK

Pan Rajmund – postać nietuzinkowa, był niewątpliwie lubianym działaczem w środowisku ogólnopolskim, był nieustępliwy w relacji Śląsk – Warszawa. Ta ostatnia chciała wieść prym, ale Śląsk z racji tej, że miał dużo klubów nie dawał się, a Pan Rajmund prawie zawsze stawiał na swoim. Z perspektywy lat, były to sprawy błahe, a chodziło głównie o to, kto jest silniejszy, a silniejszy zawsze ma racje.

Pan Prezes Rajmund bywał w domu rodziców. Z ojcem rozmawiali o przeszłości. Ze mną o sprawach zawodowych, a wiązało się to z tym, że był niski i nie szczupły i trzeba było coś tam przerobić. Pod koniec życia miał pragnienie, żebym mu uszył mundur harcerski z białej tkaniny. Poczuliśmy przygotowywać plan zakupu materiału i wzoru tego munduru, ale nie zdążyliśmy zrealizować tego planu.

Bywałem też u Państwa Byczków w Łagiewnikach na ul. Romanowskiego. Zawsze były to sympatyczne spotkania z Panem Rajmundem i sekretarką – siostrą Jego Panią Teresą.

Raz wybraliśmy się z żoną na zaproszenie degustacji wina. Brat Rajmunda był koneserem winnego trunku. Robił na bazie żyta – podkład, a po wymieszaniu różnych nalewek wychodziło wino różnego koloru i smaku, jakby było kupione w sklepie. Dobrze, że wybrałem się z żoną, to bezbłędnie trafiłem do domu. Chciał nam pokazać obserwatorium astronomiczne na strychu, ale było całkowite zachmurzenie i nie było sensu wspinać się tam na ten strych.

Po jednej z wizyt odkryliśmy w domu świecznik na trzy świece zrobiony w metaloplastyce. Był to prezent od Niego. Świecznik mam w domu do dzisiaj i choć nieużywany, przypomina ową wizytę.

Pogrzebu nie będę opisywał, bo przypadek sprawił, że spóźnił się z żoną. Niemniej wspomnę, dlaczego.

Po przyjeździe do Bytomia i kupieniu kwiatków, stanęliśmy na przystanku tramwajowym, tramwaju dłuższy czas nie było. I jak się okazało, była zerwana trakcja elektryczna. Wreszcie podstawili autobus i tym autobusem dojechaliśmy, ale kondukt pogrzebowy już przeszedł, a że nie było uroczystości w kościele, to nie zdążyliśmy.

W drodze spotkaliśmy uczestników jak wracali do domu i po spotkaniu z siostrą Rajmunda i rodziną udaliśmy się na cmentarz.

Tam nad grobem stało dwóch kolegów i pilnowali, żeby kopidoły zasypali koło, które to koło Rajmund chciał mieć po śmierci przy sobie.

Rajmund zrobił świecznik ze świecami do kościoła i świeczki na tym świeczniku miały się palić, aż do wygaśnięcia, a po wygaśnięciu świecznik miał stać się własnością kościoła.

To było pożegnanie z kościołem, obok którego ten kondukt szedł.

Długo korespondowaliśmy z siostrą Rajmunda – Teresą, aż przestała przychodzić korespondencja, a jaka była przyczyna, można się domyślić.

Bardzo zacni ludzie odeszli.



HOLD

Rozwój turystyki kolarskiej na Śląsku nastąpił w głównej mierze za sprawą działaczy niesamowicie oddanych sprawie, którzy nie szczydzili czasu, a czasem i pieniędzy, aby w tej szarej rzeczywistości okresu powojennego coś zrobić, głównie dla młodzieży.

Wszystkich tych wspinających działaczy znałem i tych, którzy żyją też znam. To są gwiazdy, które błyszczą nieprzerwanie od lat, całkowicie oddani sprawie.

Chylę czoło przed nimi.

Przez te lata, dzięki nim, mogłem przeżyć całą masę przygód, poznać naszą piękną ojczyznę, ciekawych ludzi.

Pozwoliło mi to zahartować się na trudy, które niesie ze sobą codzienne życie.

ZAKOŃCZENIE RAJDU

Zlot z Rucianem dobiegł końca, nadszedł czas rozjechać się do domów.

W czasie zlotu poznałem nowych przyjaciół, z którymi co roku się spotykałem.

Przyjaciół poznawałem, co roku nowych i tylko żałowałem, że tego urlopu było tak mało.

PIERWSZE PODSUMOWANIE

Pora na podsumowanie pierwszego etapu naszej wyprawy.

Na zlot wyjechało 10 uczestników, licząc z moją skromną osobą.

Do mety dojechali wszyscy, choć nie wszyscy na kole.

Część dojechała krótszą trasą. Główna trasa, która została zaplanowana, pokonana została w trójkę.

Przejechaliśmy przez cztery województwa, na moim liczniku „Start” zamontowanego na przedniej osi roweru wybiło 915 km.

Przejechaliśmy bardzo szczęśliwie.

Prezes klubu zdobył, i nie tylko On, doświadczenie, że buty, siedzenie trzeba koniecznie dobrze przetestować.

Na naukę nigdy nie jest za późno.

POWRÓT

Na końcowej naradzie zostały podjęte decyzje powrotu do domu.

Prezes jedzie później, po naradzie działaczy do domu pociągiem przez Olsztyn i Warszawę.

Trzech kolegów jedzie pociągiem tą samą trasą, a trzech jedzie do domu rowerami – Ci nie mają pieniędzy. Propozycję w sprawie pożyczki kategorycznie odrzucili. Odrzucili też zbiórkę pieniędzy, jako pożyczkę zwrotną. Na taką trasę mieli po 2,50 zł. Słownie 2 złote, 50 groszy na osobę, co było równoznaczne z zakupem pięciu bułek. Rano wystartowali, a my mieliśmy, o czym myśleć. Wobec takiej ich postawy byliśmy bezradni.

Żeby tę sprawę zakończyć, to szczęśliwie dojechali, choć jeden mówił, że mama go ledwo poznała. Żywili się na trasie tym, co im gospodarze dali przy okazji noclegów, trochę warzyw z pól, trochę owoców z sadów i tych 2,50 zł, przeznaczonych na chleby.

My w trójkę postanowiliśmy wracać częściowo rowerami, a częściowo pociągiem. Z Rucian przez Szczytno, Pułtusk, Legionowo i Warszawę – Ochotę na dworzec główny. Byliśmy na dworcu wieczorem, a pociąg z wagonem bagażowym odjeżdżał rano i w związku z tym czekaliśmy całą noc na jego odjazd.

Ja po drodze wysiadłem w Będzinie i na obiad byłem w domu.

PLUSY I MINUSY

Po podliczeniu kosztów wyszło, że oprócz wydatków z zakupem gum do roweru, impreza pochłonęła 1 zł, na 1 km trasy.

Tu chciałem nadmienić dobrą stronę wyprawy, mianowicie taką, że mama mnie bez trudu poznała.

Miało to ten pozytywny skutek, że nie miałem problemu z kilkunastoma podobnymi wyprawami, zanim przeszedłem pod opiekę żony.

Przyszedł czas nadrobić zaległości w domu i w zakładzie pracy, nie miałem za bardzo czasu na jazdę rowerem.

SAKWY

Jeszcze w Rucianem Prezes zaproponował, że ma znajomego rymarza, który może mi uszyć nowe sakwy na rower, żebym miał, na czym i w czym wozić wszystko to, co jest niezbędne na imprezach rowerowych.

Gdzieś po dwóch tygodniach dzwoni do mnie do zakładu pracy i oznajmia, że sakwy są do odebrania na zebraniu klubowym. Jadę ochoczo po nowy nabytek, ale z niepokojem ile sobie zażyczy fachowiec za swój trud. Dla pewności zabrałem, jak się okazało, trzy razy tyle pieniędzy, co było trzeba.

Były to czasy powodujące, że człowiek się cieszył, gdy coś udało mu się kupić, nawet sakwy dzisiaj pospolite i do wyboru i koloru i na każdą kieszeń. I kask i sakwy prawidłowo umocowane i obciążone mają duży wpływ na bezpieczeństwo, a ostatnio elementy odblaskowe i kamizelki.

Wchodząc na salkę za kotarą widzę, jak sakwy leżą na stoliku, ale Pan Prezes tak mówi:

- Witam cię Nowok, ale najpierw zebranie, a później interesy.

Do końca spotkania nie mogłem się doczekać. Widzę je jeszcze dzisiaj, jak leżą, takie zielonkawe z brezentu, z paskami ze skóry brązowej, z oksydowanymi sprzączkami i z dodatkowymi paskami do solidnego zamocowania do bagażnika.

Ja tego bagażnika nie miałem w dalszym ciągu. Raz, że były siermiężne i nie pasowały do mojego „Bałtyka”, a po drugie, że był to rower typowo wyścigowy i nie miał otworów do jego zamocowania.

Ale na zebraniu był Heniek Grzesik, a że był mechanikiem w trudnych sprawach, zobowiązał się, że takie nagwintowane otwory zrobi.

Wreszcie koniec zebrania, z którego i tak nic nie zapamiętałem, bo byłem zapatrzony ciągle jeszcze w nie moje sakwy. Wreszcie pada cena 150 zł, co mnie bardzo zadowoliła i już jestem ich właścicielem. Sakwy leżały w domu, ale bez szans na ich założenie.



na fot. Jaguar - mój trzeci rower z sakwami

BAGAŻNIK

Na rajd do doliny Dramy, zmów jadę z tą torbą, ale tym razem lekko załadowaną. Pan Rajmund patrzy się na to z uśmiechem, ale mnie do śmiechu nie jest, a raczej do wstydu, że jeszcze nie rozwiązałem tej sprawy.

Moją uwagę zwróciła nagroda za przejazd w postaci właśnie bagażnika. Bagażnik był pierwszą nagrodą, był wykonany z elektrod i pochromowany. Tak sobie myślałem, ale by pasował do mojego roweru. Tylko jak tu go wygrać?

Choć startowałem w przełajach, ale z wąskimi oponami, to szans za dużych nigdy nie było. Przełożenie było dobre na jazdę z górki, bo było z tyłu 13 ząbków, ale w górę to tylko 21 ząbków. Myślę sobie, że szansa jest tylko, jeżeli nadrobię z górki w stronę Zbroslawic, bo z powrotem jazda była ścieżką, którą musieli wydeptać robotnicy, jak szli do pracy. Ale była też jazda loteryjna, już przed metą po piachu.

Po wystartowaniu jechałem jak mogłem najszybciej do mostu, skręć w lewo, dobrze, że nic nie jechało, ale choć nie było pierwszeństwa, to i tak bym nie widział, bo przed oczami był tylko srebrzysty bagażnik. Nawet po tym piachu przejechałem i rezultat był taki, że bagażnik był mój.

Teraz tylko Grzesik na hucie „Zygmunt” zrobił swoje i do klubu przyjechał z bagażnikiem zamontowanym na stałe.

Teraz, po tylu latach pełni tą samą funkcję. Można go zobaczyć przy „Jaguarze”, a sakwy niestety przypadły po którejś pożyczce kolegom z sąsiedniej wioski. Można je zobaczyć, ale tylko na zdjęciu.

MAJ I CHLEB

Zacząłem to pisanie od miesiąca – maja, a skończę na chlebie, bo i to, i to jest niezbędne w naszej szerokości geograficznej. W maju dostaniemy udaru słonecznego, jeśli nie będziemy mądrze postępować, z chlebem jest to samo.

CHLEB

Jeszcze, gdy jechaliśmy całą grupą, a była to sobota, trzeba było kupić na kolację chleby na 10 osób.

Ponieważ w sobotę zawsze jest zapotrzebowanie na większą ilość pieczywa, w związku z tym przed piekarnią była kolejka i na domiar złego zanosilo się na deszcz. We dwóch zostaliśmy w kolejce po chleb, a reszta pojechała na nocleg.

Chleb prosto z pieca był bardzo gorący i nie można go było włożyć do folii i też, dlatego przywiązaliśmy dwa duże piękne bochny do bagażnika koledze. A że już była późna pora ruszyliśmy gonić grupę.

Zaczął padać deszcz i z tych chlebów kopciło się jak z komina. Wreszcie dojechaliśmy na miejsce i gdyby nie zaradna gospodyni, bylibyśmy głodni z tej przyczyny, że chleb nie nadawał się do jedzenia.

Chleb bardzo trzeba szanować.

OSTY

Na koniec zabawna przygoda jednego z kolegów, który będąc w stodole położył się pięknie bez koszuli na czymś, co przypominało siano, a okazało się, że gospodarz miał szczygły i zrobił sobie na zimę zapas ostu.

Kolega bardzo cierpiał, gdy przy latarkach robiliśmy operacje wyjmowania igieł, a później przy dezynfekcji spirytusem.

To też doświadczenie życiowe i wcale nie śmieszne, też zależy, dla kogo.

WNIOSKI

Patrząc z perspektywy dziesiątków lat muszę stwierdzić, że plan wyjazdu był bardzo optymistycznie zakładany, że grupa dojedzie do Rucian przez Gdańsk.

Patrząc na mapę, to gigantyczna wyprawa, a nie można było na tym etapie przewidzieć, że był u niektórych uczestników brak kondycji, były zbyt małe zapasy gotówki i nieprzewidziane okoliczności niedyspozycji Prezesa. Moje plany były skromniejsze i przewidywały odjazd przed Warszawą i indywidualne kontynuowanie krótszą trasą.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że grupa przed Toruniem się rozpadła i musiałem zmienić strategię i podjąć ryzyko na fatalnym stanie ogumienia i ratować plan uzgodniony przed wyjazdem.

Sklep w Olsztynie uratował sytuację i po pierwszym spotkaniu po przyjeździe usłyszałem od Prezesa parę ciepłych słów.

DO CZYTELNIKA

Jeżeli dobry czytelniku doszedłeś w czytaniu do tej strony to Ci bardzo jestem wdzięczny za hart ducha i tolerancji.

Wszystkie ty przytoczone fakty są prawdziwe.

Przy ich pisaniu korzystałem z kart pocztowych, które zostały systematycznie posłane z podróży do domu i które zachowały się do dnia dzisiejszego oraz z zapisków z podróży.

W tym tekście jest dużo zapewne błędów stylistycznych, chaotycznych, ale proszę wziąć pod uwagę zawodowe wykształcenie mojej osoby.

Nie wszystkich uczestników tej wyprawy, pamiętam z imienia i nazwiska.

Tych, co pamiętam to byli:

- Prezes Rajmund Byczek,
- Jan Warzecha, górnik z kopalni „Szombierki”
- Jasiu Klik, uczeń rzemiosła, mieszka gdzieś na terenie Niemiec,
- Michał Rubin, nic o nim nie wiem, gdzie przebywa,

był też o ile sobie przypominam:

- kolega Kurowski, który był krótko Prezesem.

Przez te wspomnienia przewinęło się wiele osób, ale nie wszyscy, z którymi dzieliłem niełatwy los turysty – kolarza.

PREZES - HENRYK GINTER

Przez wiele lat koordynował te poczynania Prezes Centrali Pan Henryk Ginter, człowiek oddany turystyce kolarskiej. Zdecydowany, co pokazał w niezręcznej sytuacji w Moryniu.

Na jednym ze zlotów rozeszła się wiadomość, że rano na tablicy ogłoszeń będzie wisiał portret Prezesa. Rano rzeczywiście wisiała kartka czystego papieru, a na nim narysowane krzaczaste brwi Prezesa, a pod brwiami podpis – Prezes.

Nie znającym go, muszę wyjaśnić, że Prezes był pozbawiony całkowicie na głowie włosów.

KS. JAN ŻRAŁEK

W latach siedemdziesiątych w zlotach centralnych brał udział mój długoletni przyjaciel ks. Jan Żrałek, który miał legitymację przodownika nr 616. Ksiądz tak do mnie mówi:

- Jurek, mam do ciebie poważne zadanie. Dam ci do zawiezienia na metę zlotu do Ośna Lubuskiego butelkę francuskiego koniaku.

Trudno było mu odmówić, ale jak tu szkło bezpiecznie przewieźć przez pół Polski?

Zaradziłem robiąc z filcu pokrowiec i tak szczęśliwie dowiozłem go na metę.

Tam mi wyjaśnił, że chciał nim poczęstować członków Zarządu Głównego Komisji Turystyki Kolarskiej.

Stałem w pobliżu i ciekawy byłem czy uda mu się ten plan. Plan się udał, mało tego, jak zobaczyli ten pokrowiec, to byli ciekawi, kto wpadł na ten pomysł i zaprosili mnie na jednego, po czym dyskretnie się ulotniłem.

Chyba smakował, tak dobrze wymieszany w tak długiej podróży w sakwie od Pana Rajmunda.

KRYSTYNA I ALBIN PRZYBYŁKO

Dotyczą te wspomnienia osób związanych z turystyką kolarską, ale w każdej regule są wyjątki i tym wyjątkiem są: Krystyna i Albin, których szlachetna i odważna decyzja ukształtowała moje życie zawodowe, a obserwacja środowiska, w którym się czasowo znalazłem, zaszczerpiła we mnie impuls do aktywnego wypoczynku.

Uzmysłowiłem sobie, że człowiek nie rodzi się w ubraniu roboczym.

Widziałem jak na „Junaku” z przyczepą załadowanego rodziną, namiotem i innym sprzętem zwiedzali nasz piękny kraj. Albin sternik jachtowy pruł z rodziną po mazurskich akwenach, przez Ruciane też.

KOT

Ja miałem swojego kota, szlachetne zwierzę czyste i ciepłe jak miesiąc maj i niestety też i tu są w regule wyjątki.

ŻYCZENIE

Mam nadzieję, że ta opisana przygoda na jednym rajdzie, skłoni koleżanki i kolegów, którzy przeżyli przygody o wiele ciekawsze do opisania ich w formie ciekawszej niż spisane przez moją skromną osobę.

KONIEC

Jerzy Nowak
Przodownik KOT
Nr 615

Egzemplarz bezpłatny opracowany przez autora
Opracowanie Jerzy Nowak
Przodownik KOT
Nr 615



**Na fot. Aleksander Wasilzenko z Moskwy dzieli się wrażeniami z 1570 km trasy z jedną z wielu uczestniczek rajdu
fot. Jerzy Stemplewski**

2.400 km na rowerach
z Francji do Polski
przejechała
sympatyczna
rodzinka francuska
Najmłodszy – 8 lat!



Na fot. „Nazywają się Olinger i mieszkają we Francji, w mieście Florange dep. Mosei. Olingerowie: Margarit, Josef (głowa domu) oraz ich dwoje dzieci – 11-letnia Dominique i 8-letni Clement z własnym sprzętem turystycznym, na rowerach przewędrowali z Francji, przez Niemcy, Czechosłowację do Polski, gdzie wzięli udział w rajdzie kolarskim PTTK – AIT na Mazurach. Ostatnio opuścili nasz kraj udając się przez północną Polskę do Danii (promem ze Świnoujścia) i Belgię do Francji. Łącznie odbyli około 2400 km na rowerach! Gdziekolwiek się pojawiali wywoływali sensację, zwłaszcza najmłodsza część rodu Olingerów. Taki urlop – jak twierdzi p. Olinger senior, daje nie tylko moc wrażeń, ale cenne zdrowie, które wystarcza mi na cały rok do mojej ciężkiej pracy robotnika budowlanego. A wrażenia z Polski – wspaniałe, zazdrościmy Wam pięknych lasów, dzikich puszczy oraz błękitnych jezior” (Jan)
fot. L. Jankowski